EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 stycznia 1938 r. Rok V Nr 3 (106)

Treść numeru:

Jak wyzwolić energię gospodarczą Polski?

Dwór i kartel. Kartel i dwór. — Oto dwie siły, które górują w całym naszym życiu politycznym. Te same dwie siły, które legły wpoprzek gospodarczego rozwoju Polski, przeciwstawiają się w każdej chwili i politycznym dążeniom demokracji w Polsce.

Niema u nas grupy reakcyjnej i faszystowskiej, która by nie miała swego patrona pośród elity arystokratycznej i pieniężnej. Gdziekolwiek na wsi słychać o aktywniejszej robocie endeckiej — wszędzie, gdy poszukamy lepiej, znajdziemy nici wiodące do dworu. Każda grupa O.N.R. ma swego magnata kartelowego. Tak samo w życiu gospodarczym, gdziekolwiek natrafimy na ciężkie, trudne, nierozwiązalne problemy, wszędzie jako ostateczna przyczyna wyrośnie folwark lub kartel.

Sytuacja ta nie wynika z przypadkowego zbiegu okoliczności. Taka jest struktura społeczna i gospodarcza Polski, że te dwie siły muszą na każdym kroku zderzać się z interesem całości gospodarstwa społecznego, z interesem ogółu społeczeństwa. Podkreślamy, ogółu społeczeństwa, bynajmniej nie zaś tych tylko jego odłamów, które znajdą się z nimi w bezpośredniej walce.

Ziemianie w swej walce o utrzymanie folwarków lub, przynajmniej, o sprzedanie ich za możliwie drogą cenę, zderzają się bezpośrednio z ruchem chłopskim. Ale konserwując nędzę chłopską, działają równocześnie przeciw interesom robotników, którzy są bezrobotni, bo chłop nie ma za co kupować wytworów przemysłu, mogącego ich zatrudnić. Działają przeciw interesom drobnych rzemieślników wiejskich i małomiasteczkowych, których egzystencja jest zależna od chłopskiego dobrobytu. Działają przeciw interesom lekarzy, prawników, pracowników wolnych zawodów, bo uniemożliwiają masom chłopskim korzystanie z ich usług. Czynią bezpłodną i bezowocną pracę nauczyciela, który wie, że trudno uczyć się dzieciom, które ściga głód. Działają na szkodę kultury polskiej, stawiając poza jej nawiasem 80% narodu.

Chłopi polscy staną się rezerwowym oddziałem demokracji, gdy zrozumieją łączność dyktatora kartelowego Karszo-Siedlewskiego z antykapitalistycznymi „kandydatami" na faszystowskich dyktatorów spod znaku „ABC". Umożliwić im to zrozumienie, wskazać im sojusz tych, co im przewodzą

z tym, co ich boli — oto jedno z podstawowych zadań polityki gospodarczej demokracji polskiej.

Podobnie też interesy wielkiego kapitału finansowego sprzeczne są nietylko z interesami tych grup robotników i pracowników umysłowych, które znajdują się z nim w codziennych, bezpośrdnich konfliktach. Chłopi w Polsce walczą o ziemię obszarniczą — magnaci kartelowi podtrzymują zrośniętą z nimi oddawna, spowinowaconą i zaprzyjaźnioną arystokrację obszarniczą. Chłop w Polsce kupuje pługi, narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne, materiały na ubrania — wszystko to podraża mu, chciwa dodatkowych zysków, polityka magnatów kartelowych. Chłop polski szuka pracy w mieście, w przemyśle — dzięki dławiącym uściskom karteli coraz mniej jest nowych fabryk, coraz częściej wracają na rodzinną wieś ci nawet, co już dawno z niej wywędrowali. Drobny rzemieślnik potrzebuje tanich surowców — właśnie w przemysłach surowcowych rozsiadły się najpotężniejsze twierdze kartelowców, właśnie tu najostrzej śrubuje się ceny, uprzywilejowuje się własne, od siebie uzależnione zakłady. Drobny rzemieślnik szuka kredytów — ale banki wolą pożyczać wielkim kartelowym panom. — To samo dzieje się z drobnym kupcem — jego kartel ujmuje w karby swych przepisów, naznacza mu zgóry, co i gdzie wolno mu sprzedawać, określa z góry jego zarobek, zamienia go w swego najemnika — tylko, że pracującego bez oglądania się na czas pracy i ustawodawstwo społeczne, bez ubezpieczalni i terminów wypowiedzenia, w dodatku własnym kapitałem i na własne ryzyko. Drobnym i średnim przemysłowcom kartel podraża surowiec, utrudnia warunki jego nabycia, nieraz wręcz uniemożliwia produkcję. Młodemu, wstępującemu w życie pokoleniu zarówno robotników czy chłopów, jak pracowników umysłowych, spowodowany kartelową strukturą naszego życia gospodarczego marazm zamyka widoki przyszłości i kariery, skazuje je na beznadziejne, pozbawione perspektyw bytowanie.

I na froncie gospodarczym i na froncie politycznym zderza się ruch mas ludowych Polski z dwiema podstawowymi siłami reakcji polskiej: z obszarnictwem i finansowym kapitałem. Obóz demokracji polskiej, reprezentujący polski świat robotniczy i świat pracowniczy, i świat chłopski, i nawet — wbrew wszelkim endeckim zakusom — świat pracy drobnych „samodzielnych" rzemieślników, chałupników i kupców, dławionych jednakowo potęgą kartelowych magnatów, musi z tej sytuacji wyciągnąć swe wnioski. Musi poprowadzić atak nietylko na ściśle politycznym, ale i na gospodarczym odcinku. Zapory, stojące na drodze dalszego rozwoju gospodarczego Polski muszą być usunięte, interesy całości życia gospodarczego, całości organizmu społecznego muszą wziąć górę nad interesami drobnych grup dotychczasowych posiadaczy. To znaczy: wielka własność ziemska, wielki skartelizowany kapitał finansowy, władający w skoncentrowanej formie decydującymi, kluczowymi gałęziami przemysłu, muszą być poskromione przez Państwo, wyzute z monopolu.

Ziemia, wyzwolona z rąk obszarników, musi być oddana do uprawy milionowym zastępom chłopskim, tym prawdziwym, najwierniejszym żywicielom i obrońcom Polski.

Wyzwolony z rąk monopolistów wielki, skartelizowany przemysł musi być przejęty przez demokratyczne, znajdujące się pod kontrolą społeczeństwa, państwo, by znaleźć się na nowych torach, umożliwiających mu pokrycie rosnącego zapotrzebowania mas ludowych bez opłacania haraczu garstce monopolistów.

Z DNIA NA DZIEŃ

NA ZAMKU

Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjął na Zamku w dn. 14 b. m. delegację Klubu Demokratycznego w osobach: prezesa Klubu senatora prof. Mieczysława Michałowicza, wicemarszałka Senatu Kwaśniewskiego, senatorki Reginy Fleszarowej i b. ambasadora Rzeczypospolitej Tytusa Filipowicza. Celem audiencji było przedstawienie Panu Prezydentowi położenia Państwa oraz zasad i poglądów demokracji polskiej, skupionej i skupiającej się pod hasłami Klubu.

Audiencja trwała dwie i pół godziny i dała również możność delegacji Klubu zapoznać się ze stanowiskiem Głowy Państwa w najistotniejszych zagadnieniach chwili.

„Z wyższych względów — pisze w związku z tą wizytą na Zamku tygodnik „Czarno na białem" — przebiegu audiencji nie publikujemy. Stwierdzić natomiast możemy, że więzy, które łączyły ongi Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z ideałami demokracji, nie są przedawnione i są tak samo żywe, jak dawniej. Stwierdzamy również, że delegacja opuściła Zamek z tym przekonaniem, że jego mury nie zasłaniają codziennej rzeczywistości naszej Rzeczypospolitej przed jej Włodarzem i strażnikiem konstytucji".

W kołach politycznych audiencję delegatów Klubu Demokratycznego na Zamku wiążą — jak podkreślił „Dziennik Ludowy" (dn. 15.I.) — z podobną audiencją działaczy socjalistycznych, która odbyła się w listopadzie r. ub. Jak wiadomo, na owej audiencji przedstawiciele P. P. S. i klasowych związków zawodowych złożyli Głowie Państwa memoriał, malujący położenie w kraju i uzasadniający potrzebę rozpisania nowych wyborów na podstawie ordynacji, która obowiązywała za życia Marszałka Piłsudskiego.

A. Słonimski sam na sam z losem

Nemezis literacka w okrutny sposób pastwi się nad Antonim Słonimskim. Odkąd pisarz ten w pamiętnej polemice z EPOKĄ wystawił świadectwo przyzwoitości stosunkom literackim, kształtującym się w Polsce, raz po raz spadają nań ciosy, które aż nadto dotykalnie przekonywają go o tym, jak dalece się w swej ocenie pomylił.

Jeszcze nie ucichł odgłos złośliwych a brutalnych wrzasków, które w prasie endeckiej rozpętano przeciw niemu z racji jego udziału w paryskim zjeździe Pen-Clubu, a już musimy znów składać mu wyrazy uzasadnionego współczucia.

Cóż się stało?

Oto, jak informuje prasa, niejaki p. Zygmunt Ipohorski - Lenkiewicz, dziennikarz i pono poeta, kwiat i nadzieja polskiego nacjonalizmu, dokonał napadu na

autora „Dwóch końców świata", policzkując go w jednej z kawiarń warszawskich, do której swą ofiarę uprzednio był zwabił. Za powód napadu posłużył wiersz Słonimskiego *Dwie ojczyzny*, zamieszczony w „Wiadomościach Literackich". Napad — jak w tymże czasopiśmie stwierdza jeden z kolegów napadniętego, — dokonany został w warunkach wyjątkowo podstępnych. „P. Ipohorski — czytamy — zatelefonował uprzednio do Słonimskiego, przedstawiwszy się, jako współpracownik *Wieczoru Warszawskiego, prosząc o spotkanie* w sprawie literackiej". Na to spotkanie Słonimski podążył w jak najlepszej wierze, nie podejrzewając zasadzki. i — padł ofiarą straszliwej niespodzianki. Zamiast komplementów za miły wierszyk, spotkała go — pięść endecka.

Czy smutne to i piekące doświadczenie wystarczy, aby odtąd powstrzymać znakomitego poetę od uczęszczania na *rendez-vous* z mołojcami endecji?

Po prawdzie czas by już było, aby Słonimski stracił iluzję co do przyjemności, jakie dlań mogą z takich spotkań wyniknąć. Czy spotkanie z p. Łaszowskim nic mu nie powiedziało? Czy na poziom stosunków literackich w środowisku warszawskim dotychczas nie otworzyły mu oczu metody Irzykowskich, Piaseckich, Gałczyńskich i Hrabyków? Czy naprawdę musi on poznanie rzeczywistości opłacać aż tak ciężkim kosztem, jak spotkanie z p. Ipohorskim? Jeśli tak, to niech-że przynajmniej ta ostatnia przygoda nie minie dlań bez pożytku! I niech-że pan Słonimski raz wreszcie przestanie chodzić na spotkania z endecją!

Trzeba mieć odwagę postawienia właściwej czasom naszym diagnozy; odwagę spojrzenia w twarz „czasom pogardy". Etyka, przewodnicząca walce o stragan, nie zamyka się dzisiaj w promieniu stragana. Etyka ta obejmuje, niestety, hegemonię nad całokształtem naszego życia zbiorowego. Biada temu, kto łudzi się, że schlebiając nowym bożkom i bałwanom, zdoła przemycić zadekowane piękno swej duszyczki. Że, uchylając się od walki, ocali swoją godność. Pięść faszystowska wyrwie go z lubych snów w najulubieńszej kawiarni!

Biedny Antoni Słonimski! Biedny murzyn warszawski! Jeszcze nie minął rok, odkąd tak nasrożył się on na Epokę, gdy swego czasu, przewidując o wiele trafniej wzbierającą falę faszyzacji, spróbowała nazwać po imieniu metody walki, przenoszone przez pewnych ludzi z poziomu straganów na pola literatury i publicystyki. Przekonywał nas wtedy, że pisarze w Polsce, jeśli walczą ze sobą, to „zwalczają się przeważnie ze względów ideowych i poziom moralny życia literackiego nie upoważnia do takich... kazań moralnych, jakie znajdujemy w Epoce".

A któż nie pamięta jego nieco dawniejszych, lecz niezapomnianych ataków na Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ataków tanich i lekkomyślnych, tępych i nieprzezornych? Wtenczas zatrute strzały jego pióra, bijące w instytucję, na której czele stał czcigodny Andrzej Strug, witane były chóralnym aplauzem Piaseckich i Hrabyków, Ipohorskich i Mackiewiczów...

Składając mu dzisiaj wyrazy ubolewania, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że własnym piórem przyczyniał się on do podkopania organizacji, strzegącej zasad naszej wolności i godności, organizacji powołanej do stawiania tamy tym siłom i zapędom, których sam stał się teraz ofiarą.

Czy zdolny ten i utalentowany pisarz stanie wreszcie z odwagą na reducie godności, tak okrutnie w jego własnej osobie sponiewieranej? Czy mając nasze współczucie, pokusi się o coś więcej: o zdobycie męskiego stanowiska w pochodzie demokracji?

Musiałby, jak nadmieniliśmy, przestać chodzić na spotkania przyjacielskie z tymi, którzy gotowi są go policzkować.

Ale to niedość!

Musiałby on również przestać znieważać sam siebie. Musiałby wyrzec się obrony tych, którzy policzkują jego ideały. Nie mógłby zatym nie odtrącić obrony, choćby najgorętszej, ludzi takich, jak Ksawery Pruszyński. Nie mógł by korzystać nadal z obrony ludzi, będących ideowymi filarami „Słowa" i „Polityki", dwóch organów, które — w szeregu innych, godnych siebie — ostatnio podpisały głośne, niesłychane w swej treści, „oświadczenie" przeciw kierownictwu Z. N. P. „Oświadczenie", które dobrotliwy Mieczysław Niedziałkowski określił jako inwazję „dżungli, wymierzonej przeciw całej wspaniałej kulturze polskiej".

„Oświadczenie" to, istotnie, jest w skali upadku moralnego i kulturalnego czymś o wiele gorszym, niż awanturnicza napaść w kawiarni. Jest czymś o wiele bardziej przerażającym.

Napaść na Antoniego Słonimskiego czy też ponowna napaść na red. Rembowskiego w Krakowie są tylko oddzielnymi, drobnymi momentami w posuwaniu się inwazji, która szturmuje na całym froncie. Wrogowie kultury to rozumieją i — dzielą między siebie role. Trzeba, aby zrozumieli to i jej szermierze. Może w końcu zrozumie to i Słonimski: wtenczas odrzuci fałszywy płaszcz samarytański, w który ubrać go chcą nieszczerzy obrońcy i sięgnie po oręż godny nietylko talentu artysty, ale i hartu obywatela.

Praszczur Stanisława Piaseckiego — fałszerzem dokumentów?

Tygodnik „Prosto z mostu" wprowadził od niedawna na swoich łamach „kolumnę humoru i satyry" p. n. „Lajkonik". Inowacja ta nie wydaje się nam szczególnie potrzebna w organie p. Piaseckiego; przywykliśmy znajdywać humor (co prawda, mimowolny i typu raczej makabrycznego) na bardziej czołowych kolumnach „Prosto z mostu" — exemplum: sławny artykuł „Łom i mózg", albo wiersze Pietrkiewicza, albo komiczny „klerkizm" Łaszowskiego... No, ale stało się. „Lajkonik" (jak wiadomo, Tatarzyn-pohaniec z pochodzenia) harcuje sobie co tydzień w „narodowym" piśmie; jego oręż: p a ł a, jest w tym wypadku nader szczęśliwie wybranym symbolem: j e s t p o p r o s t u g o d ł e m d o m u. Dowcip — na ogół również odpowiednio ciężki, albowiem właśnie pałą najtrudniej pisać dowcipy... „Szpilkami" owszem, ale pałą — nie! Tego nawet Konstanty Ildefons Pałczyński nie potrafi.

Ostatnio jednak udało się temu „Lajkonikowi": lunął — ni mniej ni więcej — własnego redaktora naczelnego.

W n-rze 4 znaleźliśmy rysunek p. t. „Spóźniona korekta": król Kazimierz Wielki siedzi przed grubym foliałem, na otwartej karcie foliału tekst: „Nos, Casimiros — żydos, gudłajos, szabesgojos et caeteros skamandrytos miłościwie wpuszczamus"... Obok „Lajkonik" z podniesioną pałą. Pod rysunkiem czytamy:

Kazimierz Wielki 1347: — Czy to ja napisałem? Tu chyba musiał się zakraść jakiś błąd!

Lajkonik 1938: — Cierpliwości, królu, korektą zajmę się c o n a m o r e.

Dobrze — zapytasz, czytelniku — ale cóż to ma wspólnego ze Stanisławem Piaseckim?

Chwileczkę, zaraz rzecz się wyjaśni.

Dobry dowcip, jak wiadomo, nie wymaga komentarza. Dowcip „lajkonikowy" p. t. „Spóźniona korekta" nie jest dobrym dowcipem, gdyż redakcja „Prosto z mostu" zaopatrzyła go w komentarz-przypisek, tej mianowicie treści:

„J a k w i a d o m o z n o w s z y c h b a d a ń h i s t o r y c z n y c h, p r z y w i l e j e K a z i-

mierza Wielkiego zostały przez Żydów sfałszowane".

Rewelacja powyższa jest tak sensacyjna, że w pierwszym momencie oszałamia. Po chwili dopiero orientujemy się, że „nowsze badania historyczne" strzepnął na poczekaniu ze swej pały „Lajkonik" p Piasecki; chodziło o to, aby „dosolić", aby dowcip „wyszedł", w tym celu właśnie potrzebny był rewelacyjny komentarz...

Głęboko zamyślamy się nad sprytem oenerowskiego Tatarzyna. I nagle przeszywa nas okropna, wstrząsająca myśl. „Żydzi sfałszowali przywileje Kazimierza Wielkiego"... Czekajcie, czekajcie... Matka Stanisława Piaseckiego była — jak naprawdę powszechnie wiadomo — czystej krwi Żydówką... A zatem? A zatem?

Wyobraźnia nasza zaczyna pracować gorączkowo. Jak długi, fatalny film rozwija nam przed oczyma genealogię redaktora „Prosto z mostu" — w linii macierzystej... Wielogłowy, niekończący się szereg jego czcigodnych antenatów: dziadków, pradziadków, praszczurów, protoplastów — w długich kapotach, w jarmułkach, w żółtych lisich czapkach... Stąpamy, posuwamy się za tymi malowniczymi postaciami w pomrokę dziejów — sto lat, dwieście, czterysta — aż do r. 1347, do czasów króla Kazimierza...

Okropna myśl! „Żydzi sfałszowali przywileje Kazimierza Wielkiego"... Ależ w takim razie... Na miłość boską! czy aby przypadkiem któryś z długobrodych przodków Stanisława Piaseckiego nie przykładał ręki do tego niecnego zabiegu? Ta myśl, ta myśl okropna! Ta myśl poraża nas poprostu!

O, „Lajkoniku"! Cóżeś narobił nieszczęsny? Cóż za straszliwe konsekwencje twych „nowszych badań historycznych", tak nieopatrznie opublikowanych pałą w „Prosto z mostu" — akurat właśnie w „Prosto z mostu"!!!

Prawdę mówiąc, jeszcze jedna myśl nas niepokoi. Kazimierz Wielki „wpuszczamus" Żydów do Polski, to fakt. Teraz „Lajkonik" p. Piaseckiego chciałby ten fakt „skorygować"... Czyżby zapomniał, że gdyby król Kazimierz nie wpuścił Żydów do Polski — nie mielibyśmy dzisiaj Stanisława Piaseckiego! Ani tygodnika „Prosto z mostu"! Ani samego „Lajkonika"!

Bądźmy jednak szczerzy: w tym niespodziewanym aspekcie patrząc na sprawę, mamy naprawdę wielki, bardzo wielki żal do króla Kazimierza...

Ale żart na bok. Bardziej tu miejsce na współczucie, niż na złośliwość. Dla zakończenia więc jedno tylko, poważniejszej natury, a propos.

Pewien intelektualista - demokrata powiedział niedawno w jakiejś dyskusji:

„Niebezpiecznie jest czytać to wszystko, co pisze lub redaguje Stanisław Piasecki. Nawet człowiek, najbardziej daleki od nacjonalizmu, może w końcu stać się zaciekłym antysemitą. Mianowicie antysemitą w stosunku do tych, sądownie stwierdzonych, pięćdziesięciu procent struktury „rasowej" redaktora „Prosto z mostu", tych 50%, które czynią z niego jedną z najbardziej drażniących, najbardziej przykrych i nieznośnych postaci polskiego antysemityzmu".

Pan Nowakowski się zabłąkał

Znaliśmy dotychczas p. Zygmunta Nowakowskiego jako autora „Geografii serdecznej", jako autora pogodnych, choć może nieco przesłodzonych historyjek dla młodych, starszych i dorosłych dzieci, jako kulturalnego felietonistę niezbyt wersalskiego organu. Znaliśmy go jako przyjaciela dzieci i zwierząt, których losowi poświęcał nie raz wzruszające, z rzeczywistym wdziękiem pisane, felietoniki.

Do polityki p. Nowakowski na ogół się nie mieszał. Sercem humanisty nie wstrząsnęły „czasy pogardy". Przyjaciel dzieci nie wzdrygnął się na wieść o losie bezbronnych dzieci Madrytu, bombardowanych przez niemieckich i włoskich lotników. Przyjaciel zwierząt nie zainteresował się biednymi andaluzyjskimi osiołkami, co wraz ze swymi właścicielami przeszły straszną epopeję ucieczki z Malagi przed maurytańskimi obrońcami chrześcijaństwa i włoskimi bojownikami za wolność i wielkość Hiszpanii. Trudno... nie każdy może być Boyem. Zdarzają się i Boye. Nie każdy gotów jest narazić się na utratę łask p. Dąbrowskiego... P. Nowakowski milczał i ostatecznie nikt mu tego szczególnie za złe nie brał.

Ale oto pan Nowakowski przemówił. Na łamach krzykliwego oenerowskiego tygodnika „Kronika", p. Nowakowski ruszył do krucjaty przeciw niesprawiedliwościom świata tego. Czy wiecie, o co mu idzie? O to, że rząd Republiki Francuskiej nie toleruje w swym kraju agentów Hitlera i Mussoliniego, że sadza do więzienia faszystowskich spiskowców przeciw Republice i Demokracji. Dosłownie: „Czy wiesz, za co siedzi w więzieniu „La Santé" niejaki Deloncle, może trochę wariat, jednak z pewnością człowiek uczciwy, ideowiec? Za obronę ładu, sensu, praworządności". Ten „ideowiec cierpi w więzieniu niewymowne męki. Wyobraźmy sobie: na święta Bożego Narodzenia nie puszczono go do domu, dano mu tylko widzenie. „W źle oświetlonej klatce mogłam pokazać swym dzieciom ich ojca" — pisze żona p. Deloncla, cytowana skwapliwie przez naszego humorystę. Ileż matek i żon nawet tego nie mogło w te święta Bożego Narodzenia! Ale p. Nowakowski woli mówić o tym, którego we Francji „niesprawiedliwość i zła wola ministra spraw wewnętrznych trzyma w więzieniu, i to na rozkaz zagranicy".

Czy wie Pan, czcigodny satyryku, co na razie udowodniono temu „trochę wariatowi, ale z pewnością człowiekowi uczciwemu, ideowcowi"? Drobnostkę, jak na razie. To on organizował wysadzenie w powietrze gmachu związku przemysłowców w Paryżu, przy czym poniosło śmierć dwóch zupełnie niewinnych ludzi. Podkreślmy cechę szczególnie ideową. P. Deloncle nie postępował jak fanatyk, wysadzający bombami siedziby swych przeciwników. Przeciwnie, podłożył bomby pod siedzibę swych przyjaciół politycznych, by ich wybuch móc później przypisać swym przeciwnikom. Szczególnie „ideowe" łajdactwo, prawda, p. Nowakowski? Poza tym kierowana przezeń organizacja popełniła inną drobnostkę: mord skrytobójczy. Dodajmy znowu: nie mord fanatyka, uderzającego ze ślepą wściekłością w tego, kogo uważa za swego głównego wroga. Zamordowani nie stali na drodze francuskiego faszyzmu. Byli niewygodni tym, którzy dostarczali broni i pieniędzy organizacji p Deloncle. Gdzie tu był rozkaz „z zagranicy", obywatelu Nowakowski? Czy nie dość, czy trzeba Pana jeszcze poinformować, że p. Deloncle chciał rozpętać wojnę domową we Francji, że sprowadzał do tego celu broń z zagranicy, że w jego twierdzach odkryto lochy z wmurowanymi w ścianę łańcuchami, przygotowane już dla przeciwników politycznych p. Deloncle? Jak Pan sądzi, gdyby Pańskiemu „ideowcowi" udało by się ulokować w tych lochach, powiedzmy tak atakowanego przez Pana ministra Dormoya, czy udzielił by mu widzenia z żoną na Boże Narodzenie?

Zanotujmy: w Roku Pańskim 1938, gdy płonęła Hiszpania i Chiny, gdy pół Europy dławił but totalizmów, dobrotliwy humorysta Ikaca wzruszał się tylko losem zdemaskowanego organizatora mordów skrytobójczych i nie mniej łajdacko inscenizowanych zamachów bombowych.

Nieprzedawniona deklaracja

praw nauczyciela polskiego

Działo się lat temu trzydzieści dwa. Kiedy istniało jeszcze „Królestwo Galicji i Lodomerii" — jeden z licznych „krajów" monarchii austro-węgierskiej — i kiedy tym „Piemontem polskim" rządzili wszechwładnie, jak własnym folwarkiem, obszarnicy-konserwatyści ze znakomitym Bobrzyńskim na czele.

Przed trzydziestu dwoma laty, 28 grudnia 1905 roku, zebrali się w Krakowie „mężowie zaufania" nauczycieli szkół powszechnych ze wszystkich powiatów prowincji i postanowili powołać do życia „Krajowy Związek Nauczycielstwa Ludowego". I uchwalili — jednomyślnie — przyjąć za podstawę działań tego związku „Program zawodowy nauczycielstwa ludowego w Galicji", sformułowany krótko w 22-ch punktach.

Pod skromną nazwą „programu zawodowego" ten zapomniany dziś dokument kryje treść doniosłą i głęboką. Pod rządami „Stańczyków" szkoła powszechna — zwana wówczas ludową — wiodła żywot nieśmiały i nędzny. Hrabiowie i biskupi bali się oświaty dla „chamów", jak najgorszej zarazy — analfabetyzm wadził im tylko wtedy, gdy uniemożliwiał strajkującemu fornalowi odczytanie rozlepionych przez starostwo wezwań do podjęcia pracy — więc skąpili na budowę szkół po wsiach, robili „oszczędności budżetowe" na płacach nauczycielskich, zakładali zamiast seminariów nauczycielskich „kursy", przygotowujące w iście amerykańskim tempie, „trybem skróconym", t. zw. nauczycieli bez kwalifikacji, a przede wszystkim — zabraniali nauczycielowi „polityki".

Galicyjski nauczyciel ludowy miał prawo tylko — za głodowym wynagrodzeniem — uczyć dzieci czytania, pisania i tabliczki mnożenia, a poza szkołą: wielbić cesarza, „stańczykowską" większość sejmową i księdza proboszcza, czytać „Czas" i pilnie uczęszczać na rekolekcje wielkanocne. Jeśli próbował upominać się o jakiekolwiek polepszenie warunków swej pracy, o naprawę walącego się budynku szkolnego, o podwyżkę uposażenia, jeśli nietaktownie uchylił się od przyjęcia zaproszenia na obiad do księdza dziekana, jeśli podejmował jakąkolwiek szerszą akcję oświatową w swojej gminie, a szczególnie gdy — o zgrozo! — czytywał „Przyjaciela Ludu" i głosował na Stapińskiego — zyskiwał natychmiast opinię wichrzyciela, podżegacza, wywrotowca i przerzucany był z jednego krańca kraju w drugi, „dla dobra szkoły". Gdy w r. 1902 rozeszły się pogłoski o przygotowaniach nauczycieli do podjęcia zbiorowej akcji o podwyżkę płac, jeden z czołowych polityków konserwatywnych, Wł. L. Jaworski, wzywał rząd i Radę Szkolną Krajową, by „czuwały nad nauczycielami, gdyż obce wpływy wniosły do jego szeregów wrogie usposobienie, ubliżające godności i powadze stanu".

W tych warunkach „program", przyjęty przez zjazd krakowski 1905 r., był aktem o znaczeniu prawdziwie odrodzeńczym. Była to prawdziwa „deklaracja praw" i obowiązków zawodowych oraz obywatelskich polskiego nauczyciela.

Godzi się odgrzebać ten dokument z pod pyłu archiwalnego, aby zapoznać z nim młode pokolenie nauczycielstwa i całej inteligencji polskiej, dziś bowiem brzmienie jego znane jest chyba tylko garstce, coraz mniej licznej, nauczycieli pamiętających jeszcze czasy przedwojenne.

Postulatów ściśle zawodowych, w znaczeniu, jakie przywykliśmy dzisiaj nadawać temu określeniu, postulatów dotyczących spraw ekonomicznych czy stosunków służbowych, w programie właściwie nie znajdujemy. Program formułuje stanowisko nauczycielstwa wobec podstawowych zagadnień jego pracy zawodowej, zasady, jakimi powinien się kierować w życiu nauczyciel świadomy swoich praw i obowiązków.

U podstaw programu leży świadomość p o s ł a n n i c t w a nauczyciela, jako chorążego prawdy i postępu, jako tego, który niesie światło rzetelnej wiedzy szerokim masom ludowym. Z tej świadomości, z poczucia wagi społecznej obowiązków, ciążących na nauczycielu, z głębokiej wiary w dziejową doniosłość jego misji biorą początek wszystkie zasadnicze sformułowania programu.

Zaczyna się on od stwierdzenia, że „nauczyciele tak z tytułu usług wyświadczanych rodzicom, społeczeństwu i państwu, jakoteż ze względu na wpływ, jaki mają na młode pokolenie — zajmują w każdym oświeconym narodzie stanowisko ważne i zacne". W każdym oświeconym narodzie — ale nie w klerykalnej „stańczykowskiej" Galicji, czego najjaskrawszym dowodem jest bezowocność trzydziestoletnich starań nauczycielstwa galicyjskiego o „regulację płac". Ponieważ zaś kwestia odpowiedniego wynagrodzenia to kwestia nie tylko pozycji socjalnej nauczyciela ale i jakości jego pracy w szkole, a zatym i wartości samej szkoły, ponieważ przy tym wiadomo, że „służbodawcy" „zwykle dopiero pod przymusem podwyższają płace swoim pracownikom" — przeto nauczycielstwo musi ż ą d a ć należytego załatwienia tej sprawy, popierając to żądanie „s k u t e c z n i e j s z y m i a r g u m e n t a m i, a przede wszystkim z d e c y d o w a n ą p o s t a w ą całego zjednoczonego nauczycielstwa, gdyż znowu wróciły czasy, w których jedynie s i ł a rozstrzyga o wygraniu słusznej sprawy" (podkr. oryginału).

Stwierdziwszy obowiązek pracy „z całym zapałem" bez względu na warunki, program proklamuje prawo nauczyciela ludowego do roli kierownika we wszelkich poczynaniach oświatowo - społecznych. „Szkoła ludowa na wsi czy w mieście powinna być głównym środowiskiem, około którego skupiać się powinno życie duchowe gminy". W ówczesnych stosunkach galicyjskich, gdzie szkoła była celowo spychana do roli nic nie znaczącego Kopciuszka, wysunięcie tej nawskroś nowoczesnej, postępowej zasady było czynem dużego znaczenia.

Od tych stwierdzeń o charakterze ogólnym program przechodzi do określenia zasadniczej postawy psychicznej nauczyciela w jego pracy szkolnej i w działalności pozaszkolnej. Nauczyciel w szkole jest

przede wszystkim „kapłanem prawdy". Nie może więc „podawać uczniom za prawdę nic takiego, czego prawdziwość nie została dowodnie wykazaną", nie może też wypowiadać wobec uczniów swoich osobistych poglądów na sprawy religijne, polityczne i społeczne. Natomiast poza obrębem szkoły nie tylko może wypowiadać się swobodnie na wszelkie tematy, ale ma takie samo jak każdy inny obywatel prawo agitacji na rzecz takiej czy innej ideologii.

Nauczyciel ma oczywiście prawo wyznawać każdą ideologię. Z natury jednak jego zawodu wynika, że pewne określone ideologie odpowiadają mu bardziej niż inne. Punkt siódmy programu głosi:

„Każdy nauczyciel z natury swojego zawodu jest przedstawicielem postępu, gdyż wiadomości, których udziela i zasady, które głosi, mają na celu szerzenie postępu. Wszystko to wymaga, aby i czyny jego na każdym kroku były zgodne z zasadami, które głosi. Nie powinien zatem nauczyciel brać udziału w towarzystwach i stronnictwach wstecznych, ani przykładać ręki do prac, które są zaprzeczeniem postępu. Nauczyciel łączący się z nieprzyjaciółmi postępu jest także wrogiem sprawy nauczycielskiej".

Nauczyciel, nie uchybiając obowiązkom względem swego wyznania i narodowości, nie powinien „posuwać się w nich do sekciarstwa lub szowinizmu, które nie dadzą się pogodzić z zasadą tolerancji".

Służąc sprawie postępu w szkole, nauczyciel może i powinien służyć jej również i na szerszym polu. „Nauczyciel, jako dobry obywatel kraju, powinien być zawsze gotowy do służby obywatelskiej w życiu publicznym, nie może zatem uchylać się od należenia do towarzystw lub stronnictw politycznych, szczerze życzliwych postępowej oświacie i nauczycielstwu".

W ślad za tym sformułowaniem zasadniczej postawy ideologicznej postępuje wyraźne sprecyzowanie stanowiska w niektórych sprawach czysto politycznych. W punkcie jedenastym czytamy:

„Wobec zamieszania pojęć w szeregach nauczycielskich pod względem politycznym, należy przypomnieć, że nauczyciele l u d u, jak to już sama nazwa wskazuje, powinni oprzeć się przede wszystkim na szerokich masach ludowych, których są naturalnymi sprzymierzeńcami".

Wyraziwszy nadzieję, że bliska jest chwila, w której „lud ujmie w swe dłonie ster rządów w państwie i kraju", program zaleca w związku z kampanią w sprawie zmiany prawa wyborczego w Galicji:

„Aby przyśpieszyć tę chwilę, powinni nauczyciele popierać całą siłą akcję w sprawie zaprowadzenia powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania".

Przechodząc do zagadnień natury wewnętrznozawodowej, program omawia sprawę poziomu etycznego nauczyciela i dążenia do podniesienia kwalifikacji umysłowych przez samokształcenie, podkreśla, że „do najpilniejszych obowiązków powinniśmy sobie zaliczyć obronę godności stanu nauczycielskiego", „odpierać powinniśmy w sposób poważny ale stanowczy wszelkie niesłuszne napaści czy na stan cały czy na jednostkę", domaga się zrównania płac nauczycielek z płacami nauczycieli, występuje przeciw tendencjom do rozbicia nauczycielstwa na kasty przez stworzenie dwutorowego systemu kształcenia kandydatów na nauczycieli. Ostatnie punkty programu poświęcone są omówieniu stosunku nauczyciela do trzech czynników, z którymi ma on najczęściej styczność w codziennej pracy szkolnej, t. j. do rodziców, do kleru i do władz szkolnych.

Cały program wykazuje bardzo wysoki stopień dojrzałości społecznej ówczesnego nauczycielstwa galicyjskiego, jest zarazem pięknym świadectwem zdecydowanie demokratycznego, ludowego stanowiska nauczycielstwa.

Taka była „deklaracja praw" galicyjskiego nauczycielstwa ludowego, przed trzydziestu dwoma laty uchwalona na zjeździe w Krakowie. Ludzie, którzy ją układali i uchwalali, ludzie, którzy organizowali i prowadzili Związek Nauczycielstwa Ludowego, byli przez rządzącą klikę „stańczykowską" prześladowani i gnębieni. Nie ulegli jednak. Związek ostał się i rozwinął — ostał się też w nauczycielstwie polskim duch, jaki ożywiał pierwszych jego organizatorów. Dzięki temu duchowi chłopi i robotnicy b. Galicji stać się mogli klasą społeczną dla niepodległościowej akcji Józefa Piłsudskiego w przededniu wojny światowej. Dzięki niemu lud całej Polski poczuwa się do czynnej współodpowiedzialności za jej losy.

J. CZERMIŃSKI.

Pora spojrzeć bezstronnie w Noc Styczniową!

Polakożercza, carosławna historiografia rosyjska przedstawia powstanie styczniowe jako bunt szlachty, która chciała przeszkodzić rządowi carskiemu w jego akcji „wyzwalania" włościan. Podług tej koncepcji chłop polski zrozumiał, kto jest jego przyjacielem a kto wrogiem i całą masą wiernie stanął przy tronie „cara — oswobodziciela" przeciw zbuntowanej szlachcie. Z kolei reakcyjni dziejopisarze polscy, za przykładem swych rosyjskich mistrzów, kierowani nienawiścią do ludu i demokracji, wykorzystali historię rewolucji styczniowej dla oszkalowania chłopa polskiego. Tu powstanie nie jest już wprawdzie buntem szlachty, tylko awanturniczą imprezą nieodpowiedzialnych i demagogicznych żywiołów a nawet (w ujęciu endeckim) poprostu wynikiem żydowskiej prowokacji. Ale lud polski przejawił tu swe najdziksze, najbardziej okrutne i krwiożercze instynkty: chłop stał się carskim siepaczem, narzędziem w ręku zaborcy dla bezlitosnej rozprawy z jedyną patriotyczną i ofiarną warstwą narodu, szlachtą. Oto, do cze-

go doprowadziła demokratyczna zaraza, zawleczona do kraju przez demagogów, zaszczepiona ciemnemu, nieuświadomionemu narodowo chłopu! Dziś, w siedemdziesiątą piątą rocznicę Nocy Styczniowej, pora spojrzeć bezstronnie na tę, tak bardzo dotąd zakłamywaną, sprawę i przypomnieć, jak to było rzeczywiście z tym patriotyzmem szlachty. W szeregu jednostek patriotyzm ten wspaniałym zajaśniał przykładem. Z ich to mogił zaczerpnął Józef Piłsudski swój odrodzeńczy nakaz: „Idź i czyń"! Ale przykład najlepszych nie pociągnął ogółu szlachty. I to stało się tragedią Powstania.

EPOKA

W lutym 1861 roku zwarta organizacja ziemian i magnatów, Towarzystwo Rolnicze, uchwalając wytyczne obszarniczej reformy rolnej, stwierdziło, że „dobrowolność umowy jest najwłaściwszą podstawą działania w przemianie stosunków włościańskich".

Ta, zawsze aktualna, nuta świadczyła, że obszarnicy zamierzają przeprowadzić reformę rolną po myśli swych własnych interesów, że nie chcą, by się ktokolwiek „wtrącał" w stosunki między dziedzicem a „jego" chłopami. Pan miał rozmawiać z chłopem sam na sam, w cztery oczy i zawrzeć z nim „dobrowolną" umowę. A treść tej reformy sformułowało T-wo Rolnicze w życzeniu „aby przez właściwą operację kredytową, skup czynszów na celu mającą, włościanie dopuszczeni zostali do własności posiadanych gruntów". Rzecz jasna, że taka reforma rolna nie mogła trafić do przekonania masy chłopskiej, której kazano płacić haracz za ziemię, przez wieki, aż do ostatnich czasów (okres po r. 1807) jej zabieraną! Pańszczyznę zamienić na czynsz, czynsze (skapitalizowane) skupić — cała ta procedura miała zaspokoić hreczkosiejskie apetyty, którym T-wo dało wyraz w postulacie, żeby reforma „w niczym nie była przeszkodą, z jednej strony do wzmocnienia położenia ekonomicznego włościan, z drugiej zaś do zadośćuczynienia potrzebom właścicieli ziemskich, nie mających kapitału". Otwierając 21 lutego posiedzenie T-wa, hr. Andrzej Zamoyski oświadczył z całą szczerością: „dziś należy oświecać lud o oczywistych jego korzyściach, wysoko ceniąc w nim i ożywiając wiarę, ufność w Boga i moralność, brakowi u niego wiedzy i doświadczenia zaradzać wykładem nowego stanu rzeczy, chroniąc go przez to od zgubnego wpływu rozbudzanych w nim zachceń". A naprawdę „zachcenia" były rozbudzane i nie bez powodu bardzo umiarkowany Giller wspomina z tego czasu „okoliczności, które powierchnię narodu niespokojnie podnosić zaczynały", dzięki czemu „widoki polityki narodowej upominały się o natychmiastowe uwłaszczenie". Tenże autor powiada, że nacisk żywiołów demokratycznych pchał T-wo na drogę, na której musiało by „z kwestii płodozmianu przejść do obrad nad sposobami wywołania rewolucji", ale Komitet T-wa „złożony niewątpliwie z najrozumniejszych głów, jakie w tym czasie posiadała szlachta... opierał się parciu narodowemu... trzymając się legalności jako deski mającej go ocalić od rozbicia". Oczywiście za tym „legalizmem" krył się strach przed ruchem chłopskim. „Pan Andrzej", nawet przez postępowych historyków traktowany jako patriota, powiedział przecież niemal bezpośrednio przed rozpoczęciem wielkich demonstracyj rewolucyjnych w Warszawie: „Nasz byt polityczny pod monarchami rosyjskimi przy jednoczesnym obwarowaniu naszej pełnej odrębności narodowej przez prawo publiczne, był by dla nas nierównie pożądańszym, niż gdyby Europa przywróciła nasz byt państwowy po zerwaniu związku z Rosją". To był naprawdę głos z głębi serca obszarniczego, głos „patrioty" — jakże często stawianego jako wzór cnót obywatelskich!

ŻYWIOŁOWA RUCHAWKA CHŁOPSKA.

Tymczasem chłopi na swój prosty sposób podjęli wykonanie reformy rolnej. Zamiast w drodze „właściwej operacji kredytowej" chcieli oni zrealizować swe postulaty przez czynną, bezpośrednią akcję odmowę pełnienia powinności dworskich. W Lubelskim, Sieradzkim, Płockim, Gostyńskim, na Podlasiu i niemal na terenie całej Kongresówki chłopi nie poszli do robót wiosennych a wtedy patriotyczna szlachta wezwała pomocy... wojska rosyjskiego. W tym samym czasie, kiedy demokracja powstańcza obiecywała chłopom, że szlachta dobrowolnie ogłosi uwłaszczenie i dla wspólnej sprawy narodowej zrzeknie się praw feodalnych — sołdackie bagnety pacyfikowały na żądanie dziedziców wsie polskie za to, że wzięły na serio te zapowiedzi! Chłopską akcję odmowy pełnienia pańszczyzny, ten swoisty, o doniosłym znaczeniu historycznym i narodowym, czyn chłopski, potraktowano nawet w obozie niepodległościowym jako dzieło podżegaczy i prowokatorów, pracujących z polecenia władz rosyjskich! Oczywiście, w takim ruchu masowym, jak wystąpienia chłopskie z wiosną 1861 r., niewątpliwie znalazł się nie jeden prowokator, który próbował wykoleić ten ruch polityczny i zgóry pozbawić go antycarskiego, niepodległościowego ostrza. Ale w takim razie zadaniem demokracji powstańczej było zsolidaryzowanie się z ruchem chłopskim i nadanie mu przez to właściwego kierunku politycznego — a nie oczernianie go jako dzieła rządowych agentów.

Natomiast demokracja powstańcza wykazała (z nielicznymi wyjątkami) niezrozumienie akcji chłopskiej. W marcu Warszawa pisała w odezwie do chłopów: „Wy zaś, włościanie, z ufnością zbliżajcie się do dziedziców, bo od zgody z nimi wasze i wszystkich szczęście zależy. Pan, który włościanina obija lub krzywdzi, jak i włościanin, który słuchając podżegaczy, występuje przeciwko panu, są występni wobec narodu". Te wystąpienia chłopów przeciw panom polegały na odmowie pańszczyzny — i to miało już być zbrodnią wobec narodu! Zbrodnia polegała poprostu na tym, że chłopi chcieli swoje uwłaszczenie i uwolnienie od pańszczyzny przeprowadzić z pominięciem „właściwej operacji kredytowej" czyli — mówiąc dzisiejszym językiem: bez wykupu.

I dlatego biskup płocki, ks. Myśliński, pisał w okólniku do podwładnego duchowieństwa: „Dochodzą zewsząd smutne wieści, że lud wiejski ulega wpływom zdradliwych podszeptów nieprzyjaciół kraju, starających się przez rozdwojenie rzucić kość niezgody pomiędzy nim a wyższymi klasami narodu, mianowicie obywatelami ziemskimi; wtenczas, kiedy błysnęła szczęśliwa dla kraju przyszłość, uszów moich dochodzą złowrogie pogróżki włościan przeciwko swoim panom, duchownym i wyższym warstwom społeczności naszej, pogróżki nie tylko zrywające pożądaną w narodzie zgodę i jedność, ale nadto niepokojące wprost osobiste bezpieczeństwo". Zaburzenia trwały aż do maja a zgoda i jedność w narodzie nastąpiła w końcu nie na skutek przytoczonych apelów, tylko — jak doniosła prasa — „skutkiem przedsięwziętych przez rząd środków większa część opierających się i odmawiających pańszczyzny włościan powróciła już do swych obowiązków". Agitatorzy chłopscy zostali wyaresztowani, po wsiach bagnety rosyjskie nakłoniły w końcu ludność do zgody z panami... W ten sposób szlachta dała chłopoom niemal bezpośrednio przed powstaniem praktyczną lekcję poglądową swego patriotyzmu. Jednocześnie mieli chłopi sposobność przekonać się, jak duża jest rozpiętość między tym, co w imieniu szlachty, choć bez mandatu od niej, głosili przedstawiciele umiarkowanej demokracji powstańczej a rzeczywistą rzeczywistoś-

EPOKA nie jest jednodniówką. EPOKA jest myślą ciągłą, która snuje się poprzez wszystkie numery.

cią. Tylko demokracja ta niczego się nie nauczyła — potwierdzając jeszcze raz słuszność tego, co już w r. 1835 zarzucał jej Lud Polski.

A sposobności do nauki było nie mało. Historyk powstania, Grabiec, notuje w jesieni „powtórzenie na większą już skalę wiosennych zaburzeń rolnych w różnych okolicach kraju. W Gostyńskim doszło do poważnych rozruchów; zamordowano tam Kleniewskiego, dziedzica Giermkowa; groźnie wystąpili chłopi w Lisicy, gdzie otoczono dwór z kołami i kosami, żądając uwolnienia aresztowanego za podburzanie chłopów parobka. W Warszawskim, Łomżyńskim, Płockim ruch przeciw dworom i odmowa płacenia czynszów połączyły się z bojkotem podatków rządowych. Wybitnie zaś rewolucyjno-społeczny ruch zaznaczył się na południo - wschodzie Lubelskiego, gdzie niemal wszędzie zaprzestano pańszczyzny i odmawiano opłaty czynszów".

Przez cały więc rok 1861 istniał w Kongresówce potężny ruch chłopski, który absolutnie nie da się sprowadzić do carskiej prowokacji! Wszyscy, którzy oskarżali i oskarżają chłopa polskiego o to, że w powstaniu styczniowym nie poparł całą masą walczącej mniejszości — świadomie przemilczają przytoczone fakty lub starają się umniejszyć ich wagę historyczną. Twierdzenie zaś, że rewolucyjny ruch chłopski w owym czasie był dziełem prowokacji — trzeba uznać za świadome (rzadziej nieświadome) oszczerstwo ze strony wrogów demokracji, oszczerstwo, którego poważna większość ówczesnych demokratów dała niestety wiarę. W oczernionym przez wrogów ruchu chłopskim, który zwracał się przeciw odbywaniu pańszczyzny, płaceniu czynszów obszarnikom i podatków rządowi — istniały wszystkie elementy, umożliwiające rozwój tego ruchu w wielkie, demokratyczne powstanie narodowe przeciw feodalizmowi i zaborcy, o Polskę Ludową. I rzeczywiście tam, gdzie demokracja powstańcza umiała trafić do ludu, chłopi szli do powstania masowo. „Mamy sporo świadectw i dowodów — pisze Limanowski — że gdyby Rząd Narodowy okazał stanowczą i niezłomną wolę ku temu, to usiłowania jego doprowadziły by do pospolitego ruszenia w dosłownym tego wyrazu znaczeniu... Gdziekolwiek zajęto się szczerze organizowaniem włościan, tam napotykano gotowość i pomoc z ich strony. „Dowodem Podlasie, Żmudź i wiele innych terenów, gdzie chłop polski z bronią w ręku po bohatersku walczył w powstaniu. Niestety pospolite ruszenie odwołano i zakazywano dalszego jego ogłaszania. Kiedy z rozkazu Rządu Narodowego odwołano pospolite ruszenie — pisze dalej Limanowski — i chłopom kazano wrócić do domów, burzyli się oni i złorzeczyli. „Wyście — mówili oni do komisarzy — zawsze tak robili. Skompromitowaliście nas, bo Moskale wiedzą o naszym przygotowaniu. Przyjdzie czas, że sami powstanie zrobimy, ale was tam nie będzie".

TRAGEDIA POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

Kierownicy powstania, ludzie o przekonaniach i dążeniach naprawdę demokratycznych (pomijamy tu otwarcie konserwatywne stronnictwo „białych") po większej części nie zdołali niestety uwolnić się od tradycyjnej, niczym nie uzasadnionej wiary w patriotyzm i ofiarność szlachty, wiary, tkwiącej w całym światopoglądzie tego odłamu demokracji. Dyktator Mierosławski w swej odezwie programowej zapewniał w tym samym duchu, że powstanie winno „ziemię polską przywrócić ludowi, co od wieków ją uprawia i bez krzywdy dla innych, bratnich mu warstw społeczeństwa". To samo nastawienie paraliżowało poczynania wielu patriotów, których demokratyzm szczerością swą o wiele przewyższał nawpół bonapartystyczne skłonności Mierosławskiego. I mimo to udział chłopów w powstaniu był bardzo wielki i rósł z każdym miesiącem! A przecież, jak pisze wspomniany już Grabiec, podczas samego powstania, w początkach 64 roku przejawiała się „dążność obywateli wiejskich, wciąż bardziej rozpowszechniająca się, do ściągania zaległych czynszów i przywrócenia dawnych stosunków przedpowstaniowych... Z wielu stron dziedzice zaczęli zwracać się do władz rosyjskich z prośbą o pomoc w ściąganiu czynszu za rok 1863. „Oczywiście Rosjanie skwapliwie" przystąpili na żądanie właścicieli ziemskich do ściągania z chłopów czynszów jako zaległych podatków". W tym samym czasie, kiedy chłopów wzywano do walki przeciw zaborcy a powstrzymania się od wystąpień przeciw dworom, w tym samym czasie, kiedy lud wiejski coraz bardziej masowo zasilał szeregi powstańcze — wojska zaborcze na prośbę polskich panów rabowały dobytek chłopski na opłatę czynszów, których chłop nie płacił w wykonaniu manifestu Rządu Narodowego z 22 stycznia! Mimo to chłop polski przeszedł do historii jako zdrajca powstania a szlachta w glorii męczeństwa...

Ten sam autor zwraca uwagę na masowe w tym czasie „nadużycia obywateli, którzy po przeprowadzeniu pańszczyźnianych osad na czynszowe, bez żadnego wynagrodzenia poskreślali obciążające grunta folwarczne serwituty leśne i pastwiskowe". T. zn., że w wykonywaniu obszarniczej reformy rolnej odbywał się cyniczny rabunek chłopów — przy odgłosie walk oddziałów powstańczych z wojskami Aleksandra II. Nie chłopi zatem, ale obszarnicy wbili nóż w plecy walczącej o wolność demokracji niepodległościowej! I na tym polegała tragedia powstania styczniowego. Wierzyło ono, że „okaże szlachcic polski wielkość duszy" — gdy on okazał tylko, jak nieraz już przedtem: wielkość egoizmu.

MICHAŁ JORDAN.

POZWÓLMY MÓWIĆ HISTORII...

KARTKA Z ARCHIWUM

„ORGANIZACJA NAUCZYCIELSTWA — A POLITYKA".

Pod takim tytułem znajdujemy w „Głosie Nauczycielstwa Ludowego" z roku 1906 (nr. 10) artykuł, w którym czytamy m. in.:

„Oni to na zgromadzeniach nauczycielskich podnoszą teraz głos przestrogi, aby organizacja trzymała się zdala od wszelkiej polityki; w przeciwnym bowiem razie naraziłoby się nauczycielstwo i szkołę na ciężki zarzut, bo wychowanie nic wspólnego z polityką mieć nie powinno. Jest w tym pozornie słusznym rozumowaniu pomieszanie pojęć. Każdy przecież światły, rzetelny pedagog głęboko jest o tym przekonany, że polityki w szkole uprawiać nie należy, że owszem wszelkimi siłami dążyć do tego trzeba, aby wpływy polityczne zdala trzymać od szkoły.

Atoli nie ma obecnie w naszej szkole i w stosunkach prawnych, nauczycielskich polityki? A jeśli jest — czy z winy nauczycieli?

Co to jest, gdy prośbą i groźbą zniewala się nauczycieli, aby przy wyborach głosowali na wskazanych im kandydatów?

Co to jest, gdy nauczyciele, co odważyli się popierać ludowych kandydatów, przenosi się z urzędu na inne posady? Czy to nie polityka? A podręczniki szkolne, a nawet cały program szkolny, czy wolny jest od polityki?

„Kto ma szkołę, do tego przyszłość należy." Ponieważ zaś każda partia polityczna pragnie, aby ta przyszłość do niej należała, stąd ta która jest najsilniejsza trzyma szkołę, jak to prosto mówią, „za łeb" i każe sobie służyć. Któż może jednak posądzać nauczycielstwo, aby mu się taki stan podobał. Szczerze tedy pragniemy, aby szkoła wolną była od wpływów politycznych. Organizacja nasza musi więc na wszelkie zakusy polityczne względem szkoły odpornie reagować. Akcji tej jednak nie wolno nazwać polityką". (Podkreślenia oryginału).

ANDRZEJ STRUG i KAROL IRZYKOWSKI
DWAJ LUDZIE — DWA ŻYWOTY

I.

Gdy szanowna redakcja *Pionu*, rychło po śmierci Andrzeja Struga, zapowiedziała, że w jednym z najbliższych numerów tego czasopisma zabierze głos akademik Irzykowski, aby przedstawić i ocenić dzieło wielkiego pisarza i zarazem żołnierza Niepodległości, byliśmy wielce ciekawi, z jakiej strony ów „pilny a niestrudzony" krytyk do swego zadania się zbliży. Jeszcze więcej ciekawiło nas pytanie, jakimi też pobudkami kierował się Irzykowski, wracając do tematu, któremu już raz, niegdyś, swe pióro fachowe poświęcił, wydając o Strugu sąd, zdawało się, nieodwołalny.

Bo Irzykowski, aby mówić o autorze „Ludzi Podziemnych", nie czekał na jego śmierć i sławę pośmiertną. Zainteresował się nim już dawno. Interesował się nim od początku. I od początku zajął wobec niego stanowisko zdecydowane: zdecydowane stanowisko walki.

Mamy oto przed sobą obszerny tom pism krytycznych Irzykowskiego*), sięgający czasów przedwojennych a odzwierciadlający to, co myślał on o ówczesnej literaturze polskiej, o tej literaturze, w której obok Wyspiańskiego, Żeromskiego, Danilowskiego tak doniosła rola przypadła Andrzejowi Strugowi.

Gdy myślimy o tej literaturze, zaiste krwią serdeczną pisanej, myślimy zarazem o jej organicznym, wewnętrznym związku z narodem, z podstawowym, podziemnym wówczas, lecz najistotniejszym prądem jego ducha. Wskrześmy w sobie pamięć owych dzieł, które, poczynając od „Wesela" i „Wyzwolenia", poprzez „Ludzi Bezdomnych" i „Ludzi Podziemnych" wiodły ku „Dumie o Hetmanie, ku „Chimerze" i „Jaskółce", ku „Snowi o Rycerskiej Szpadzie": gdzież indziej, w jakiej księdze pieśni — poza naszą księgą Romantyzmu — znajdziemy słowo, któreby ściślej stapiało się z tętnem krwi narodu, z tęsknotą pokolenia? Już same owych dzieł tytuły zdają się układać w natchniony rapsod o Polsce; o Polsce ujarzmionej, lecz niecierpliwie rwącej się do walki o wolność.

Ludzie Bezdomni — to los i tragizm narodu, wyzutego z własnego państwa. *Ludzie Podziemni* — to ci, którzy zstępowali w mrok konspiracji, aby własne państwo zdobyć. *Chimera* — to wyszydzany przez zjadaczy chleba ideał niepodległości i społecznego postępu. *Sen o Rycerskiej Szpadzie* — to wieczyste śluby wierności przez poezję polską złożone żołnierzowi. *Duma o Hetmanie* — to odgłos wyśnionych kroków wodza, z głębi wieków, po przez nostalgię trzech pokoleń, zdążającego ku nowej chwale. Tak! Z tytułów samych, jak z napisów na słupach, możnaby odgadnąć kierunek owej drogi, którą naród szedł ku swemu odrodzeniu!

I na głos pieśni bojowej drgnął, zakołysał się, zaszumiał z krańca w kraniec młody las polski.

*) „Czyn i słowo". Glossy sceptyka. Lwów 1913.

Wszystko co było nieskażone duchem, niepodległe w sobie, buntownicze i dumne, odezwało się na wieszczą pobudkę. Z kart *Popiołów* młodzi chłopcy poznawali tętent wielkich zdarzeń historii. Z kart *Jutra* czerpali siłę moralną do samotnego męstwa w obliczu śmierci. O Józefie Piłsudskim, wodzu tej młodzieży, powiedziano niegdyś, że wskrzesił w jej sercu rozkosz i dumę umierania za Polskę. Tak; lecz dodać należy, że w tym dziele wskrzeszenia współtwórczą rolę grała literatura, towarzysząca krokom młodych chłopców, jak najwierniejszy dobosz ich sprawy. Słowo tej literatury stawało się sercem młodego pokolenia. Jej przepowiednie płomieniem zapaliły się w jego krwi. „Ci młodzi chłopcy — pisał Żeromski — w przededniu straszliwej wojny ćwiczący się wojskowo, w dzieciństwie swym sposobiący do boju za ojczyznę, coś jakgdyby przeczuwali w swych czystych duszach, brali na ramiona ciężar niezmierny, podsuwając pod jego ogrom swe młode krzyże. Mierzyli siły na zamiary. Słyszeli, widać, swym słuchem nieskalanym, gdy po nocach czuwali, wielkie kucie w ziemi niezbłaganego wojny anioła. Zdawało im się, że ziemia drży i płonie, więc nie ma już czasu, ani spoczynku. Dokądś wciąż szli z pieśniami niepodległymi na ustach"...

Nieśli pieśni niepodległe na ustach, i nieśli niepodległość w duszy. Ale ci chłopcy byli w swoim kraju mniejszością. Olbrzymia, przygniatająca większość narodu, jak tenże stwierdzał Żeromski, spała w swych izbach i pokojach kamiennym snem niewolników. Żołnierz polski rodził się w ogniu rewolucji i był zapowiedzią nowego rzeczy porządku. Był zwiastunem nowego ładu społecznego, mającego w odrodzonej Polsce zniweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, obalić ucisk i zdzierstwo, panoszące się w starym przywileju klas, które pod osłoną cudzej władzy żerowały na pracy chłopa i robotnika. To wystarczyło, aby przeciw młodemu ruchowi rozpętać wszystkie siły starej Polski, wrośniętej w niewolę. Sprzymierzyły się ze sobą nienawiść, trwoga i egoizm tych wszystkich, którzy zainteresowani byli w zachowaniu stosunków, strzeżonych przez obce rządy. W jeden chór złorzeczenia przeciw młodej demokracji, zbrojącej się do boju o niepodległość i wolność, zlały się „wrzaski dziedziców i fabrykantów", bicie w dzwony kleru, „tajne intrygi tchórzów, ciemna niewiedza nędzy". W jednym wspólnym ordynku stanęli Stańczycy krakowscy, kurie biskupie, magnaci podolscy i ugodowcy warszawscy, narodowi demokraci i konserwatyści. W tym ordynku stanął wtenczas także i Karol Irzykowski, ogłaszając swą książkę „Słowo i Czyn", a w niej jedyne w swoim rodzaju, jako dokument głuchoniemoty duchowej, swe paszkwilanckie „Aforyzmy o Czynie" („Z kuźni bluźnierstw"). Stając w jednym szeregu z całym obozem „samoniewoli narodowej", Irzykowski był wszakże zbyt wybitnym indywidualistą, zazdrosnym o swą rolę solową, aby dopuścić do rozpłynięcia się swego głosu w chórze powszechnym. Nie; on chciał mieć w tym dziele „zadeptywania ogniów idei" kartę

samodzielną. Chciał mieć swój własny tytuł do zasługi.

Już więc w przedmowie do książki podkreśla chełpliwie: „Jeżeli dwóch robi to samo, nie jest to tym samym". I miał słuszność. To, co robił Irzykowski nie było tym, co wykonywał pospolity ciura czy korsarz dziennikarski, ścigający zwiastunów i rycerzy niepodległości. Gdy dwaj robią to samo, nie jest to tym samym. Irzykowski robił to samo, ale w innej tonacji. Robił wybredniej, obrotniej, pikantniej. Pełnił swą robotę na podkładzie pseudofilozoficznym, z częstą przeplatanką cytatów z Hebbla, Nietzschego i Schopenhauera, z dekoracjami powagi, żarliwości przekonaniowej, erudycji i fundamentalności. No, i z tym niezmiernym poczuciem wyższości stanowiska, które pozwala — w stosunku do przeciwnika — na ironię, szyderstwo i drwiny.

Irzykowski, urodzony belfer - komentator, wypowiadający się okruchami uwag na marginesie cudzej pracy, raz jeden w życiu, poniesiony namiętnością, przeżył furię czołowego natarcia; wtenczas, gdy postanowił rozprawić się z literaturą *bohaterszczyzny:* tak nazwał on literaturę, prostująca żołnierzowi polskiemu ścieżki do serca ojczyzny — literaturę Żeromskiego, Daniłowskiego i Struga.

Bohaterszczyzna: w tym urągliwym, degradującym słowie zamykał się cały stosunek Irzykowskiego do nowej idei, do nowego typu ludzi, jaki stawił przed narodem Żeromski a zwłaszcza Strug: nie idea bohaterstwa, idea poświęcenia i samoofiary, ale bohaterszczyzna, falsyfikat poświęcenia, poza i kłamstwo. Śmieszną facecją wydało się Irzykowskiemu już to, że „człowiek *bezdomny* wszedł w fazę *podziemności* i doczekał się nowego epika w osobie pana Struga". Ubawiła go zawarta w pierwszej opowieści deklaracja literacka autora: „Sławy rozgłośnej, sławy wielkiej chcę dla ciebie, człowieku z pod ziemi, człowieku bez imienia!" Sławy? — z politowaniem wzrusza ramionami Irzykowski — dla kogo? dla andrusów? dla awanturników? Atmosfera, przenikająca „Ludzi Podziemnych", tę kapitalną książkę, która przed społeczeństwem, zagrzęzłym w oportuniźmie, odsłoniła odrodzony typ bojownika, to była wtenczas dla Irzykowskiego — tylko atmosfera, „przypominająca *romanse skórzanych kamaszy*", walki osadników z czerwonoskórymi, agitatorzy, bombiarze, szpiegi, robotnicy, andrusy, prostytutki". (str. 20).

Intencja sławetnego krytyka była niedwuznaczna: gdy inni ideę walki o niepodległość zwalczali, on ją poniżał, szargał, wyśmiewał. Poniżał ją, odzierając z uroku i przedrzeźniając to jedyne słowo — słowo poezji — które wieść o niej niosło między młode szeregi inteligencji, między zastępy ludu.

Epos rewolucjonisty polskiego, start duchowy żołnierza polskiego, zepchnąć między historie rozbójnicze i awantury arabskie: oto był jego cel. W rozdziale: „Za dużo przygód" — Irzykowski sarka na przykrą dla siebie tematykę ówczesnej literatury powieściowej (str. 78): „Napady na stacje, sensacyjna ucieczka kanałem, przysięgi zemsty, przesłuchania w ochranie — oto są dzieje czynu! Tylko niema w takim razie żadnej różnicy między wspomnieniami bojowca a pamiętnikami ks. Manolescu, króla złodziei". Czyn, na który ważył się był Piłsudski wespół ze swymi towarzyszami a który po części wypiastowała, po części opromieniła (oczywiście, w sposób, na jaki ją było stać) muza naszej poezji, to był dla Irzykowskiego jakiś podejrzany kawał, przed którym należało mieć się na baczności. A przestrzegając innych, Irzykowski jednocześnie z radosnym uznaniem gratulował trzeźwości sam sobie: „Moją duszę wschodnio - galicyjską nie tak łatwo wziąć na kawał; nie da sobie ona byle czym zaimponować".

To wzgardliwe „byle co", ten podejrzany „kawał", które wtenczas nie imponowały Irzykowskiemu, to były — w sercu poezji odbite — etapy czynu, który skroś rewolucję r. 1905 — 08, skroś Organizację Bojową P. P. S., skroś Strzelca i Legiony, parł ku wojnie o niepodległość. To były Rogów i Bezdarzy, to była śmierć Okrzei i Mireckiego, to — szubienica, skrzypiąca w latach, poprzedzających wojnę, na stokach warszawskiej Cytadeli... To były także: „Jutro" Andrzeja Struga i „Dzieje jednego pocisku". Nowe piękno heroizmu? Nie; „to" nie imponowało Irzykowskiemu. „Szubienica — pisze on — stała się już oddawna rekwizytem literackim. Strug zapóźno mówi o *nowym pięknie*. W ostatnim zbiorku Daniłowskiego („W miłości i w boju") widać już nawet, jak ono działa na nerwy kobiece. Zaiste, nie krzywią się tkliwe damy na bojowców, owszem — w atmosferze bomby robi Amor doskonałe interesy; na fali różnych powrotów z tradycji naszej wraca i luby motyw: „ułan i panienka..." Czyli: precz z fałszywą glorią męczeństwa, które w oczach trzeźwego krytyka, nie dającego „brać się na kawał", było tylko próżną odmianą kokieterii, służącej interesom Amora. Tu Irzykowski nie poprzestaje na „nicowaniu" tego, co nazywał bohaterszczyzną w literaturze. Poprzez pisma Żeromskiego i Struga sięga w życie i wyszydza z jakimś samozadowoleniem niepojętej, wniebowziętej tępoty, sam ruch, ruch zbrojny, którego droga przecież usłana była nie uśmiechami „tkliwych dam", lecz — mogiłami. Mogiłami ludzi, których śmierć bohaterska była tylko ostatnim ryzem dopełniającym wizerunek bohaterskiego życia. Wulgarną i pogardy godną rzeczą wydawał się Irzykowskiemu sam bezpośredni — w osobie Żeromskiego i Struga tak ścisły i żywy — związek literatury z życiem. „Są pisarze — drwił on, dowcipkując wesoło, — którzy utrzymują, że poezja ma latać za rewolucją ze zwierciadełkiem i ciągle ją odbijać". (str. 69). Do roli zwierciadełka, lichego sprzętu kokieterii, spadło w oczach Irzykowskiego posłannictwo poezji, która ustami wielkiego pisarza przysięgła unieśmiertelnić nowego żołnierza polskiego. A były to — przypomnijmy sobie — czasy, gdy Józefa Piłsudskiego cała zjednoczona burżuazja polska, miejska i wiejska, traktowała jako „bandytę"; gdy wynajęte przez nią „ścierwo dziennikarskie, naśladując siepaczów, łączyło szlachetnego cień żołnierza z widmem łotra, który po śladach idzie i chwyta łup"*). Były to czasy, gdy kroki tego żołnierza tęsknym odbijały się echem jedynie w tajniach ludu, w duszy wydziedziczonych i bezdomnych. Ale, jak mówił Żeromski, żołnierz ów sam był ludem i krew jego w lud wsiąkała. „Na wystygłych kałużach krwi, w dziewiczych tajniach wyrastały cudne legendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budziły się w duszach sny o pióropuszu sławy..." Tak mówił Żeromski. Tak marzył Andrzej Strug. Lecz dla Irzykow-

*) St. Żeromski: „Sen o Rycerskiej Szpadzie".

skiego słowa te były tylko „zwierciadełkiem, z którym poezja miała latać za rewolucją i ciągle ją odbijać".

W pewnych chwilach sprzeczności i jakby rozdwojenia z samym sobą Irzykowski, zresztą, gotów jest uznać „ogromną pracę szlachetnego tryumwiratu: Daniłowski, Strug, Żeromski"... Ale za jaką cenę? Za cenę stwierdzenia, że cała ta praca jest tylko fikcją artystyczną, tylko wzniosłą grą wyobraźni, w ostateczności likwidacją czynu, nie zaś jego świadectwem i pochodnią. „Nigdy jeszcze nie było — przyznaje on w pewnym miejscu (str. 65 i 66) — tak wielkiej świadomości ważności czynu literackiego, nigdy literatura nie podjęła szczytniejszego zadania, jak w tej likwidacji, w tej — powiedzmy nieufnie — pia fraus. *Takim on był, nasze serca kładziemy w zastaw!* Dociągając to, co było w intencji, zakryć skazy, odłupać brzydkie narośle, przepuścić drobne lecz najcenniejsze drgnienia przez najlepsze mikrofony — te czyny literackie kulminujące w *Jutrze* Struga i scenie tortur w *Róży* zachwycają mnie więcej, niż zamach na Skałłona". Pomijamy nonszalancję, z jaką rozswawolony krytyk kładzie na jednej wadze dwie rzeczy niewspółmierne: efekt literacki i bojowy czy polityczny. Co chcemy tutaj podkreślić, to znów ową głuchoniemotę krytyka, ową jego niezdolność zrozumienia, że gdyby nie było zamachu na Skałłona, gdyby nie było ruchu rewolucyjno - powstańczego, to nie byłoby też i „Jutra", nie byłoby „Róży", nie byłoby „Dziejów jednego pocisku". Literatura owego okresu to — nie były ognie bengalskie dla amatorów pirotechniki poetyckiej. Był to „krzyk pokolenia", wydzierający się z tej samej tajni dusz, w której rodziła się też i kuźnia czynu zbrojnego. Gdy więc Irzykowski raz jeden zdobywa się na pochwałę dla „szlachetnego tryumwiratu", to mówi tylko *pia fraus — pobożna szarlataneria!* Chwali magię artystów słowa, aby pognębić ludzi czynu, którzy byli ich natchnieniem. Gotów byłby uznać sen o rycerskiej szpadzie, byle nazawsze pozostał on tylko — snem.

ZBIGNIEW ZIEMSKI.

GŁOS MAJĄ MŁODZI

Zagadnienia seksualne w życiu i wychowaniu współczesnym

Psychologia wychowawcza zajmuje się ostatnio bardzo dużo zagadnieniami seksualnymi. Stanowią one w pewnym stopniu „modny" temat psychologicznych badań.

Wielu psychologów, za Freudem, stwierdzało tło seksualne w większości nerwic, chorób i zaburzeń psychicznych (szczególnie w wieku dojrzewania). Rozwiązanie jednak tego problemu w dziedzinie wychowania napotyka na ogromne trudności. Trudność leży przede wszystkim w ustosunkowaniu się ludzi dorosłych do tych normalnych, ważnych spraw, obchodzących każdego człowieka. Ciągle jeszcze ogół podchodzi do spraw seksualnych z pewnym specyficznym zakłamaniem i ambiwalentną nadwrażliwością. Niektórzy psychologowie są zdania, że złagodzić i usunąć konflikty dojrzewających w dziedzinie seksualnej może tylko radykalna przemiana poglądów na tę kwestię u pokolenia wychowującego, dorosłego.

Wcale nie łatwo jest dociec, gdzie tkwi przyczyna zakłamania oraz całego szeregu bezwzględnych przepisów i zakazów, dotyczących życia seksualnego. Zakazy i przepisy, regulujące instynkt rozrodczy istniały przecież we wszelkich mniej lub więcej zorganizowanych grupach ludzkich. Im bardziej życie ludzkie odbiegało od prymitynych, pierwotnych form, tym większe ograniczenia napotykało swobodne zaspakajanie instynktu rozrodczego. Kultura ludzka rozwinęła się niewątpliwie kosztem zahamowania i pewnego zwyrodnienia życia instynktowego. Poprostu ów potężny strumień energii, płynący prosto i swobodnie, został częściowo zatamowany, skierowany w wiele drobnych kanałów, począł poruszać jakieś skomplikowane mechanizmy.

Kultura więc i życie instynktowe stanowią w życiu współczesnego człowieka dwa stale walczące ze sobą przeciwieństwa. Potężny strumień instynktu obija się ciągle i kruszy tamy, które mu stawia kultura. Stanowcze zwycięstwo jednej z tych walczących sił grozi ludzkości zagładą, bądź w sensie fizycznym, bądź w kulturalnym. Człowiek współczesny więc musi szukać jakichś pośrednich dróg między kulturą a życiem instynktownym, musi dążyć do wytworzenia harmonii między tymi przeciwieństwami. Jeżeli życie instynktowe ma ustąpić kulturze, to tylko jej najwartościowszym i najbardziej stałym elementom.

Przede wszystkim człowiek współczesny powinien zrzucić z siebie cały niepotrzebny balast przesądów, towarzyszących kulturze, lecz nie stanowiących jej istoty. Balast ten w postaci wielu skamieniałych zakazów i przepisów, wszelkiego zakłamania, chorobliwej nadwrażliwości specjalnie silnie obciąża życie seksualne. Przyczyna tego tkwi zapewne w wychowaniu, które przez szereg wieków skupiało się wyłącznie w rękach kapłanów i mnichów, ludzi o specjalnie skrępowanym i na obłudę skazanym stosunku do życia płciowego.

MÓJ MOST

NA GÓRZE, KTÓRA STRZELA W BŁĘKIT WPROST,
MAM DOMEK, CUDNY ZADUMY CZAREM,
ALE NAJBARDZIEJ KOCHAM MAŁY MOST
W DOLE PRZY DRODZE NAD GŁĘBOKIM JAREM.

Z OKIEN POKOJU, WIDZĄC GO,
CZUJĘ SIĘ W DUSZY SPOKOJNA OGROMNIE,
BO WIEM, ŻE WSZYSTKO, CZY DOBRE, CZY ZŁE,
MUSI PRZEJŚĆ TĘDY ZANIM DOJDZIE DO MNIE.

BO WIEM, ŻE MOST MÓJ DA MI PIERWEJ ZNAĆ
PRZEZ ZNAKI SKRYTE W TAJEMNIC GŁĘBINIE,
CZY MAM W BEZRUCHU PRZED ZŁĄ WIEŚCIĄ TRWAĆ,
CZY WYJŚĆ NAPRZECIW RADOSNEJ NOWINIE.

KRYSTYNA CZERSKA.

Przykładem chorobliwej nadwrażliwości, panującej w klasztorach, może służyć następujący fakt, opowiadany mi przez byłą wychowankę klasztoru. W klasztorze tym zakonnice zabraniały wychowankom używać nazwy „jasiek" dla małej poduszki, tak zazwyczaj nazywanej i zalecały wzamian słowo „małgosia". Uważały, że złożenie głowy na przedmiocie noszącym imię męskie, łatwo może młodym dziewczętom nasunąć niepokojące myśli o mężczyźnie. Biedne zakonnice! — Jakże silne i emocjonujące musiały przeżywać pokusy, jeśli sam dźwięk męskiego imienia wytrącał je z równowagi!...

Wprawdzie wychowanie od lat już znajduje się przeważnie w rękach świeckich. Jednakże przesądy seksualne, wszczepione przez stan kapłański, zdążyły się mocno zakorzenić w psychice ludzkiej, przechodząc z pokolenia w pokolenie.

Wielką zasługą Freuda było poddanie bezwzględnej, naukowej analizie spraw, spychanych dotąd wgłąb podświadomości ,określanych jako „drażliwe" i „nieprzyzwoite", oraz wskazanie ich ważności dla naszego zdrowia psychicznego.

Niektórzy, w imię zdrowia psychicznego młodzieży, gotowi są żądać dla niej prawa swobodnego zaspakajania instynktu płciowego. Niestety nie jest to sprawa zupełnie prosta. Wprawdzie młody chłopak, czy dziewczyna, wcześnie rozpoczynający życie płciowe, z pewnością nie będą mieli zahamowań, czy kompleksów na tle seksualnym. Nie da się jednak zaprzeczyć, że przedwcześnie rozpoczęte życie seksualne odprowadza energię i inicjatywę życiową od problemów intelektualnych, estetycznych, moralnych itd. A przez problemy te przedzierać się musi każda jednostka dojrzewająca, aby być pełnym i kulturalnym człowiekiem. To też naogół psychologowie są zdania, że nie należy zbyt wcześnie rozbudzać dzieci pod względem płciowym i jaknajdłużej skierowywać ich energię i zainteresowania we wszelkie inne dziedziny.

Z chwilą jednak rozbudzenia się instynktu płciowego nie pomagają żadne zakazy i kary w stosunku do młodego osobnika. Przeciwnie, raczej potęgują ciekawość do tych spraw i pogłębiają normalny w wieku dojrzewania konflikt młodocianego ze światem dorosłych.

W wychowaniu współczesnym można zaobserwować ciekawy fakt specjalnie drażliwego traktowania spraw seksualnych u młodzieży przez wychowawców i władze szkolne. Wszelkie przejawy budzącego się instynktu płciowego u młodzieży są tępione ze specyficznym jakimś poczuciem zgrozy, a nawet z tępym, choć przeważnie nieświadomym okrucieństwem.

Zjawisko to świadczy tylko o tym, że sami dorośli nie są przeważnie w porządku z własnymi sprawami seksualnymi. Odczuwają do tych spraw silny pociąg zmieszany ze wstrętem i niechęcią. Nie rozumieją własnych pragnień, walczą z nimi, lub ulegają im bezmyślnie, nie mogąc zdobyć się na spokojne i szczere ich zanalizowanie. Nic więc dziwnego, że i w stosunku do młodzieży nie umieją podchodzić do tych zagadnień ze spokojem i wyrozumiałością. Jest to niewątpliwie bardzo smutne zjawisko współczesnego wychowania...

Sprawą równie ciekawą i ważną dla zdrowia i równowagi psychicznej młodzieży jest czas i sposób uświadomienia seksualnego. Najczęściej młodzież trzymana jest w niewiedzy co do zagadnień seksualnych aż do okresu dojrzewania. Dopiero w wieku dojrzewania zdobywa od kolegów oraz z popularnych broszurek różne fantastyczne wiadomości na te tematy. Metody te zdecydowanie ujemnie odbijają się na samopoczuciu i równowadze psychicznej młodzieży. Dziecko, nagle w wieku dojrzewania uświadomione, wpada najczęściej w depresję, nabiera wstrętu do życia i ludzi. Często u natur o słabszym systemie nerwowym powstają na tym tle nerwice, czy też poważne urazy psychiczne.

Chcąc zapobiedz tym szkodliwym zjawiskom, kilku psychologów propaguje uświadamianie płciowe dzieci we wczesnym dzieciństwie. Małe dziecko przyjmie informację o sprawach płciowych z pewnością zupełnie naturalnie i spokojnie, poprostu tak, jak każdą inną informację w każdej innej sprawie. Nie jest ono bowiem nastawione na sprawy płciowe, nie posiada również skłonności do załamań i depresyj, właściwych dojrzewającym.

Czy jednak metoda ta rozwiązuje kwestię zaburzeń i konfliktów na tle seksualnym u dojrzewających — nie jest to wcale pewne. Przyczynić się może conajwyżej do ich złagodzenia. Dopóki bowiem konflikty te będą istniały w psychice ludzkiej, póty będzie je przeżywała młodzież dojrzewająca na progu swego wejścia w świat dorosłych.

Problemy seksualne są niesłychanie zawiłe i trudne do rozwiązania, szczególnie na jakiejś ogólniejszej płaszczyźnie. Uwagi moje stanowią tylko próbę oświetlenia tych zagadnień, bez ambicji ich rozwiązania.

KRYSTYNA STOJANOWSKA.

Dokąd idziemy?

1937 Rok

„Nadeszły do nas wiadomości z Ochojca, niewielkiej osady koło Katowic, o szeregu huligańskich wyczynów (przeciw ewangelikom - metodystom). Kolejno od 20 października do 7 listopada nie ustawały akty terroru, których dopuszczały się wyrostki, przy udziale „niewiast różańcowych", na grupie spokojnych ludzi, zbierających się na nabożeństwa. 20 października wybito szyby w domu, w którym schodzili się ludzie na zebrania. Przez wybite szyby wrzucono do wnętrza śmiecie, grudki ziemi i błoto. Akompaniował tej „obronie katolicyzmu" wrzask, wycie, wyzwiska i bicie w blachy. Jednemu z członków Zboru (metodycznego), Józefowi Dolejowi, mającemu kiosk, wybito okno w tym kiosku i wysmarowano mu drzwi kałem ludzkim. Było to praktycznym zastosowaniem się do ogłoszenia wywieszonego na frontowych drzwiach miejscowego katolickiego kościoła tej treści: „Ostrzeżenie! zawiadamiamy, że właściciel kiosku kolejowego, Józef Dolej, jest sekciarzem i uprzedza się katolików, aby nie kupowali u niego towarów".

Dalej korespondent omawia ciemnogrodzką robotę kilku miejscowych „nauczycieli", szerzących wśród uczniów nienawiść wyznaniową, co miało ten skutek, że sfanatyzowane dzieci z okrzykiem: „sekciarze!", „kocia wiara!" wybiegły na ulicę i wybiły szyby w domu modlitwy ewangelików-metodystów. („Piegrzym Polski" Nr 12, 1937 r.),

1574 Rok

„Nienawiść tłumów zwracała się głównie przeciw „zborom", czyli kościelnym budynkom protestantów. Podburzone naukami zakonów i kierowane przez akademików „pospólstwo" w dn. 10 października 1574 r. napadło na zbór kalwiński w stolicy państwa w Krakowie... „Niemało chłopiąt ultajów, mendyków, gnojników i innego motłochu", którzy koło drzwi zrobili zgiełk, wybili okna. Zgiełk jeszcze się powięk-

szył, gdy z różnych burs zbiegły się „żaki", czyli uczniowie. Przez trzy dni atakowano zbór. Wyłamano drzwi, podziurawiono ściany, zniszczono ruchomości, powyrzucano na ulicę książki, następnie zaniesiono je na rynek i spalono.

Ustawę przeciw „tumultowi" religijnemu wydano dopiero w 1593. Ustawa ta nie miała już wtedy praktycznego znaczenia, nie miała bowiem czego bronić. W Krakowie zapewne już wtedy po dawnym zborze rumowisko uprzątnięto, nowego zboru jednak ewangelicy nie odważyli się budować, by go nie spotkał los dawnych zborów.

Tłumy nie mając pod ręką zborów, zaczynają urządzać napady na prywatne domy ewangelików. W imię wiary i walki z herezją wyszukuje się takie przedmioty do napadów, przy których dałoby się porządnie obłowić. Przykładem tego napad akademików na dom Jana Kalaja, złotnika, którego wraz z żoną pobili i obrabowali ze sprzętów i gotówki.

Sąd uniwersytecki, mimo interwencji krakowskiego magistratu, zbagatelizował sprawę i winowajców rozmyślnie ochraniał"

(Dr Putek: „Mroki średniowiecza".).

Podstawowe zagadnienie Francji

W chwili, gdy piszemy te słowa, Francja ma już nowy rząd. Nie wiemy czy będzie go miała w chwili, gdy słowa te dojdą do czytelnika. Bo trzeba to powiedzieć jasno i wyraźnie: drugi rząd Chautempsa jest typowym prowizorium, jest zjawiskiem przejściowym, trudno tylko powiedzieć, od czego i ku czemu.

Kiedy rodziło się we Francji „Zjednoczenie Ludowe", Francja stała pod znakiem ofenzywy faszystowskiej. Wielki kapitał rzucał hojnie fundusze na akcję „Ognistych Krzyżów". Wiadomo, że kartę członkowską Nr. 13 organizacji „Croix de Feu" posiada magnat ciężkiego przemysłu, p. de Wendel, zaprzyjaźniony z kolei ze Schneiderami z Creuzot. Należy przypuszczać, że p. de Wendel ofiarował na cele „Croix de Feu" pokaźną część zysków, osiągniętych w czasie wojny światowej z dostaw dla armii... niemieckiej. Te wendelowskie zyski wyszły szóstego lutego 1934 demonstracją i buntem na bulwary Paryża.

Było to coś podobnego do rewolty endeckiej z jesieni 1922. Jak u nas na Placu Trzech Krzyży, tak i na bulwarach paryskich zatrzymywano posłów lewicowych. Jak u nas, zatrzymywano tramwaje (bojownicy p. de Wendela palili również autobusy). Jak u nas spróbowano osaczyć parlament. I — jak u nas robotnicze przedmieścia skończyły z całą maskaradą. Dnia 8 lutego „la banlieue", pas przedmieść paryskich wysłał swe masy na bulwary. Bohaterzy „Ognistego Krzyża" woleli się wycofać.

Inaczej jednak niż u nas nie skończyło się na jednym przetrzepaniu skóry. W ogniu 8 lutego zrodziła się jedność demokracji. Objęła z początku tylko stronnictwa robotnicze, by wkrótce rozszerzyć się na odłam umiarkowanych „socjalistów francuskich" Paul Boncoura. Wreszcie przyłączyła się do niej partia radykałów, kluczowa partia Republiki. Rozpoczął się zwycięski pochód Zjednoczenia Ludowego, pochód zakończony triumfem wyborczym 1936 r.

Jakie było oblicze „Zjednoczenia Ludowego"? O ile idzie o stronę ściśle polityczną, sytuacja była zupełnie jasna. Szło o obronę zagrożonej demokracji parlamentarnej, o obronę swobód demokratycznych mas ludowych, o obronę Republiki. Trudniejsza sprawa, jeśli szło o stronę społeczną. Spotkali się przecież w tym Zjednoczeniu kolektywiści z partii robotniczych z umiarkowanymi postępowcami z „Unii Republikańsko-Socjalistycznej" i przede wszystkim z partią radykalną.

Dziwna to partia, ci radykali francuscy. Żyje tradycja jakobinów. Dotąd zwłaszcza w odleglejszych zakątkach, żyje na prowincji francuskiej jedna tylko linia podziału: na „niebieskich", jakobińskich zwolenników Republiki, postępu, demokracji, i na „białych", potomków „szuanów", reakcjonistów i klerykałów. „Niebiescy", to radykali. W imię tej tradycji stawia ich u boku partii robotniczych. Ale w wielkich miastach, potomkowie jakobinów, zdążyli dorobić się majątków, zdążyli dolać sporo wielkokapitalistycznej wody do jakobińskiego wina przodków. Nie darmo właśnie organizacje partyjne przemysłowej Północy stoją na skrajnej prawicy stronnictwa. Prawda, i tu wśród klienteli stronnictwa przeważają elementy demokratyczne, drobni rzemieślnicy, drobni kupcy, inteligencja. Ale za to tu siedzą i przedstawiciele wielkiego przemysłu i banków. To stąd wyszli przywódcy radykalni i finansiści w jednej osobie, tacy jak Caillaux i Raymond Patenotre. To tu nadają ton ci, co czują się bliżsi umiarkowanych „białych", niż czerwonych, robotniczych „niebieskich".

W epoce formowania się „Zjednoczenia Ludowego" antagonizm ten uległ pewnemu przyciszeniu. Jawna ofenzywa reakcji, jawny sojusz „dwustu rodzin" z skrajnie faszystowskimi jej odłamami nie pozwalał na wahania. Prawica radykałów mogła się boczyć na czerwonych sojuszników, ale nie mogła ich odrzucić, zwłaszcza, że partie robotnicze ze swej strony rezygnowały ze zbyt daleko idących żądań, które mogły by stać się powodem do zerwania. Tak stanął pakt „Zjednoczenia Ludowego", obejmujący w dziedzinie społecznej nie wiele więcej ponad rozbudowę ustawodawstwa socjalnego do poziomu istniejącego już dawno, powiedzmy, w krajach skandynawskich.

Pierwszy rząd Zjednoczenia Ludowego wykonał znaczną część zapowiedzi programowych. Wbrew reakcyjnym gadaniom o „eksperymentach socjalnych", podkreślmy, że reformy te nie szły znów tak bardzo daleko. Urlopy robotnicze, wprowadzone we Francji przez rząd Bluma, czyż nie istnieją w Polsce nawet od długiego czasu? Czy w Polsce, i w Anglii, i w wielu innych krajach nie istnieją umowy zbiorowe? A co do nacjonalizacji przemysłu wojennego, czyż nasz przemysł wojenny nie jest od dawna państwowy? Jedynie ustawa o 40 godz. tygodniu pracy wychodziła nieco po za ramy dotychczasowych reform europejskich, ale czy nie była ona wręcz koniecznością wobec sytuacji na rynku pracy?

Dodajmy, że reformy socjalne nie obejmowały tylko robotników. Szczególną troską otoczyło „Zjednoczenie Ludowe" gospodarkę chłopską, gwarantując chłopom przy pomocy całego systemu zarządzeń stałą i rentowną cenę za ich produkty. Poprawa bytu mas ludności miejskiej i wiejskiej miała, w koncepcji Zjednoczenia Ludowego, stworzyć mocne podstawy pod nową „prosperity", pod nową trwałą poprawę koniunktury. Stało się inaczej. Nie doszło do nowej, szerokiej fali poprawy gospodarczej, życie gospodarcze Francji tylko częściowo wydobyło się z marazmu. Dlaczego? Dlatego, że wielki kapitał postanowił per fas et nefas, za wszelką cenę, bronić swego panowania w republice, obalić znienawidzone rządy lewicy.

Wielki kapitał zmienił przy tym swą taktykę. Konflikt Tardieu — de la Rocque pozwala przypuszczać, że decydujące ośrodki tego wielkiego kapitału postanowiły narazie nieco odstawić na bok jawnych propagatorów faszystowskiego puczu. Oczywista nie z patriotyzmu lub demokratyzmu. Chodzi poprostu o to, że wielki kapitał boi się przegranej. Wszystkie głosowania we Francji wykazywały tak druzgocące klęski prawicy, że nie można stawiać na nią w walce o władzę. To też wielki kapitał ujmuje się wprawdzie za „kagulardami", ale właściwym jego celem jest rozsadzenie od wewnątrz „Zjednoczenia Ludowego".

Jest to metoda już raz wypróbowana. Mówi się dziś, że to zbytek radykalizmu w większości rządowej stanowi kamień obrazy dla „płochliwych kapitałów". Kłamstwo! Rząd Herriota, pochodzący z wyborów „kartelu lewicy" 1924 r., był ostro zwalczany przez komunistów, miał skład zupełnie analogiczny do obecnego, drugiego rządu Chautempsa, a mimo to storpedowano go przy pomocy tych samych metod, torując drogę do rządów Poincarego.

Co to są za metody? Taktyka jest prosta i jasna. „Zjednoczenie Ludowe" podjęło próbę ożywienia koniunktury przez podniesienie siły nabywczej szerokich mas ludności pracującej. Reformy socjalne, podwyżki płac ludności robotniczej, zapewnienie chłopom rentownej ceny za ich produkty, wszystko to podnosi siłę kupna tych warstw, wzmaga ich popyt na produkty przemysłowe i środki żywności. Ten popyt powinien stworzyć dodatkowy bodziec koniunkturalny, powinien uruchomić zamarłe dotąd fabryki i warsztaty, powinien stworzyć nowy rynek dla produktów pracy chłopskiej. Ale tutaj właśnie rozpoczyna się sabotaż wielkiego kapitału.

Wielki kapitał sztucznie kurczy inne zapotrzebowanie, które dotąd istniało na rynku. Wielki kapitał na znak protestu nie przeprowadza renowacji i nowych inwestycji w przemyśle. Wielki kapitał, rządzący bankami, zmniejsza, zamyka w zupełności je z kolei do ograniczania swych inwestycji. W ten sposób fala wzrostu zapotrzebowania na towary, fala poprawy koniunktury, idąca od strony polityki rządowej, łamie się o drugą falę, falę ograniczania zapotrzebowań, piętrzoną sztucznie i planowo przez wielki kapitał. Rezultatem jest zastój, przypisywany reformom socjalnym, które wobec tego należy „uelastycznić".

Niedość tego. Wielki kapitał organizuje planowo akcję odebrania masom ludowych praw już wywalczonych. Ofenzywa na walutę jest tu główną bronią. Mówi się w prasie reakcyjnej, że to „płochliwe kapitały" uciekają za granicę. Wolne żarty! „Płochliwy", drobny kapitał, jeśli ucieka to w formie złota lub kosztowności do pończochy, albo gdzieś do prywatnych schowków. Drobny kapitalista nie ma takiej znajomości aparatu finansowego, by przerzucać swe kapitały do Szwajcarii, czy do Ameryki. „Ucieka" kapitał wielki, kapitał wielkich banków i trustów, doskonale wiedzących co robią. Pisaliśmy już o kampanii paniki, planowo organizowanej na rynku londyńskim przez finansierę i umiarkowanych polityków francuskich. Organizując, poprzez „emigrację kapitałów" i panikę giełdową spadek kursu franka, wielki kapitał przekreśla podwyżki płac, uzyskane przez robotników, stabilizację cen produktów rolnych, zagwarantowaną chłopom. Cóż z tego, że robotnik i chłop dostają za swą pracę sumę franków, która dawniej wystarczała na ludzkie życie, kiedy ta suma dziś straciła znaczną część swej wartości, kiedy można za nią kupić o jedną trzecią mniej niż przed kilku miesiącami?

Dla upozorowania „ucieczki kapitałów" mówi się o strajkach. Oczywista, wśród tysiąca strajków może być jeden lub kilka wywołanych lekkomyślnie. Powiedzmy więcej, mogą być strajki o charakterze wręcz prowokacyjnym. Pamiętajmy o historii z zamachem na gmach Lewiatana. Faszyści francuscy i ich chlebodawcy są zdolni do niejednej prowokacji. Tacy macherzy jak Doriot, niewątpliwie zachowali jeszcze pewne znajomości i kontakty, które mogą im się przydać dla różnych ciemnych celów. Ale trzeba to stwierdzić dobitnie: olbrzymia większość strajków jest odpowiedzią na prowokacje przedsiębiorców. To nie „wywrotowe" i klasowe zawodowe związki robotnicze, ale kierowany przez p. Ginoux Lewiatan francuski odmówił udziału w pertraktacjach o „kodeks pracy", który miał chronić produkcję przed nieuzasadnionymi przerwami i postojami!

Czy nie można złamać sabotażu wielkiego kapitału, czy nie można bronić kursu franka, wymusić na przedsiębiorcach respekt dla ustaw socjalnych?

Owszem, można, ale na to trzeba mocnej, zdecydowanej ręki. Nie dopuścić do takiego kursu silnej ręki, oto rola i zadanie prawego skrzydła radykałów. To Senat, stwierdza p. Caillaux, obalił rząd Bluma. To prawica radykalna, pod wodzą Caillaux i Bonneta, nie dopuszcza do kontroli dewiz, która jedna może położyć kres dezercji kapitałów, bez kapitulacji przed wielkim kapitałem. Odbierając Zjednoczeniu Ludowemu broń, przy pomocy której może ono złamać ofensywę „dwustu rodzin", prawica radykalna prze to Zjednoczenie na drogę kapitulacji przed nimi, na drogę, na której końcu widnieje „unia narodowa" z Louis Marinem i de la Rocque'm, z wyłączeniem stronnictw robotniczych z większości rządowej. Nie przypadek to, że atak przyszedł właśnie teraz. Jeszcze kilka tygodni urzędowania min. Dormoy, a afera „kagulardów" mogła zamknąć na długi czas zamieszanym w niej politykom reakcji drogę do rządów. Atak na franka przyszedł w sam czas. Miejsce Dormoy zajął Sarraut. Polityka i gospodarstwo uzupełniają się doskonale.

Czy zwycięstwo tych manewrów jest zapewnione? Na frakcji parlamentarnej radykałów, przy głosowaniu nad misją p. Bonneta, zaledwie jedna trzecia głosowała za jego poparciem. Jedna trzecia głosowała przeciw, jedna trzecia wstrzymała się od głosowania. Nawet tak ostrożny i sprzyjający reakcji obserwator, jak paryski korespondent „Times"-ów, stwierdza, że wśród większości radykałów panuje tendencja do przeciwstawienia się manewrom prawicy. Afera „kagulardów" w republikańskich, prowincjonalnych kołach partii radykalnej wywarła wrażenie o wiele większe, niż by to było miłe pp. Caillaux i Bonnet.

Raymond Patenotre, jeden z wodzów prawicy radykalnej napisał niedawno: „Cała trudność w tym, że głosowanie kartek wyborczych daje u nas wyniki wręcz sprzeczne z głosowaniem kapitałów". To prawda. A głosowanie kartek wyborczych ma jeszcze we Francji, w odróżnieniu od innych krajów, swoje poważne znaczenie. Słusznie pisał Jouhau w czasie kryzysu rządowego: „.....„Zjednoczenie Ludowe" istnieje w kraju i istnieć będzie nawet wtedy, gdyby w parlamencie stać się miało martwym cieniem".

LUDWIK ROMAN

NA WIDOWNI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ

JESZCZE JEDEN LAUR I. K. C.

Czy wiecie, co to jest „alibista"? Jest to osobistość niezwykle popularna w sądach, szczególnie wśród bywalców ławy oskarżonych z kategorii zawodowych kryminalistów. „Alibista", to zawodowy świadek oskarżonego. Potwierdzi pod przysięgą, że pił razem z oskarżonym w chwili, gdy właśnie opróżniano skład, o którego okradzenie toczy się rozprawa. Widział oskarżonego w kinie w chwili, gdy gdzieindziej robiła się „mokra ro-

bota", o którą oskarżonego podejrzewają. Widział wszystko, słyszał wszystko, był wszędzie — tylko oczywista trzeba mu za to zapłacić. Czasem zdarzy się pech i „alibista" zasiądzie na ławie oskarżonych za krzywoprzysięstwo. Trudno, ryzyko zawodowe...

W czerwcu 1937 r. zamordowano we Francji braci Rossellich, czołowych antyfaszystów włoskich. Ślady morderców na razie nie były uchwytne. Śledztwo nie doprowadziło do żadnych wyników. Ale mimo to opinia światowa widziała sprawców zabójstwa w faszyźmie włoskim.

Wtedy to „Ikac" zamieścił niezwykle sensacyjny, rewelacyjny artykuł, oparty jak zwykle u „Ikaca" na niewątpliwie autentycznych, miarodajnych informacjach. Oto — dowiedzieliśmy się — bracia Rosselli zamierzali porzucić walkę z faszyzmem. Doszli do przekonania, że faszyzm to zbawienie Włoch. Właśnie gotowali się do powrotu na łono Mussoliniego. Czy nie jasne, kto więc ich zabił? Przeciwnicy faszyzmu.

Minęło osiem miesięcy. Wiemy dzisiaj, kto zabił Rossellich. Znamy nazwiska morderców, wiemy, do jakiej należeli organizacji. Wiemy, że Rossellich nie zabiła ręka lewicy, ani demokracja, ani masoneria, że zamordowali ich faszyści francuscy, najemne zbiry włoskiego faszyzmu. Wiemy, że w artykule swym z dnia 27.VI. 1937 (A. Mir.) „Ikac" łgał, łgał jak najęty. „Tajny detektyw" sprzeniewierzył się swojej funkcji Nie wykrywał zbrodni, a zamazywał jej ślady.

Czy „Ikac" zechce ujawnić obecnie swych miarodajnych informatorów? Czy zechce odwołać swe poprzednie autentyczne informacje? Bo inaczej, przykro powiedzieć, ale czym różni się rola „Ikaca" od roli zwykłego „alibisty"?

GOETHE, SCHILLER I LESSING — WYGNANI.

W Belgradzie urządzono niedawno wystawę książki niemieckiej, zorganizowaną przez propagandę kulturalną Trzeciej Rzeszy. Jak zwróciła uwagę prasa, na wystawie pominięto zupełnie twórczość Goethego, Schillera i Lessinga. Nikt oczywiście nie spodziewał się uwzględnienia Heinego, który pochodził z Żydów i którego dzieła dawno już spalono na stosie. Ale eliminując ze ze skarbnicy ducha niemieckiego trzech największych poetów „aryjskich", tych poetów, których dorobek stał się własnością wszystkich cywilizowanych narodów, poetów, którzy na zawsze pozostaną wobec świata reprezentantami *lepszych*, wolnych i twórczych Niemiec — faszyzm raz jeszcze odsłonił swe antykulturalne i *antynarodowe* oblicze. Duch twórczości tych trzech największych Niemców jest bowiem żywym zaprzeczeniem tego, co hitleryzm usiłuje dziś pod postacią „kultury nordyckiej" narzucić narodowi niemieckiemu. Goethe, Schiller i Lessing zadają kłam Rosenbergowi, Goebbelsowi i Baldurowi. Dlatego z całą pewnością można powiedzieć, że naród poetów, filozofów i kompozytorów nie przeobrazi się na rozkaz Reichskulturamtu w naród barbarzyńców i niewolników — chociaż chwilowo jego władcy wyklęli to wszystko, co jako symbol wolności, tolerancji i postępu jest chlubą kultury niemieckiej. I przyjdzie czas, kiedy *Faust, Don Carlos i Natan Mędrzec* wrócą triumfalnie z zaszczytnego wygnania, a „Mit XX stulecia" i „Horst Wessel - Lied" pójdą w zapomnienie i tylko w podręcznikach historii pozostaną jako dokumenty smutnej epoki w dziejach Niemiec.

„NIE PCHAJMY GŁOWY W PIASEK"

„Gazeta Grudziądzka" w numerze 5 z 13 b. m., w artykule bardzo krytycznym, zastanawia się nad przebiegiem wypadków politycznych w Rumunii. Zwracając uwagę na fakt, że król przeszedł po prostu do porządku dziennego nad niewątpliwą, dobitnie i jasno wyrażoną wolą większości ludności, pismo przypomina, jak musieli liczyć się z wolą ludu, z wynikami wyborów królowie i cesarze „z Bożej łaski", Wilhelmy i Franciszki Józefy. Dlaczego tak było dawniej, a tak zupełnie inaczej jest teraz? — zapytuje autor artykułu. Odpowiedź jest jasna i dobitna.

Monarchowie „z Bożej łaski" „...wiedzieli, że ci, co wolę swoją objawili na kartce wyborczej, będą ją chcieli i umieli przeprowadzić innymi sposobami, gdyby została zlekceważona. Wiedzieli, że na ulicach Wiednia i innych miast mogą wnet stanąć barykady nie z artykułów dziennikarskich, ale z materiałów nieskończenie bardziej niebezpiecznych. Byli przekonani, że twórcy i zwolennicy demokracji potrafią jej bronić nie tylko językami, ale wymowniejszymi sposobami... Tak było przed dziesiątkami lat, gdy demokracja była w zwycięskim pochodzie, mając w i e l k i e i d e e i l u d z i n a o d p o w i e d n i ą m i a r ę"...

A dziś? Świadomość demokratyczna w masach ludowych wzrosła i pogłębiła się. Ale kierownictwo demokracji zbyt często nie chce widzieć twardej rzeczywistości. „...Różne więc reżymy trzymają się nie tyle własną siłą, ile indolencją i niezrozumiałym doktrynerstwem swoich przeciwników, nie chcących dojrzeć rzeczywistości dla każdego laika widocznej".

„Nie pchajmy głowy w piasek, nie oszukujmy siebie i drugich. Kartka wyborcza i wyniki wyborów, nie wątpię, zwycięskie, w tych warunkach mogą mieć znaczenie tylko wtenczas, jeśli u ludzi kierowniczych istnieć będzie siła i wola, przed którymi wszelkie zakusy muszą ustąpić"...

Są tu niektóre aluzje, trudne do zrozumienia („doktrynerstwo" — czy, przeciwnie, nie mieliśmy zbyt wiele nadmiernej „elastyczności" zasad niektórych „demokratów"?), ale myśl podstawowa autora niewątpliwie trafia w sedno rzeczy: jedną z podstawowych przyczyn dzisiejszych podbojów reakcji endeckiej, choćby przejściowych, jest niedostatecznie mocne, niedostatecznie zdecydowane kierownictwo olbrzymimi siłami obozu demokratycznego.

WYJAŚNIENIE PRZYKREGO NIEPOROZUMIENIA

Z początkiem r. b. ukazał się w Warszawie pod redakcją p. Antoniego Wiącka nowy tygodnik, którego nazwa — „Kurier Demokratyczny", a także osoba redaktora, mogły nastręczyć przypuszczenie, że czasopismo to pozostaje w związku z działalnością Klubu Demokratycznego, którego p. Wiącek był sekretarzem.

Przypuszczenie takie było mylne. „Kurier Demokratyczny" pana Wiącka jest jednym z tych czasopism, które „jakby na urągowisko noszą sprzeczne z naturą nazwisko". Ażeby być w zgodzie ze swą treścią, powinienby nazywać się właściwie „Kurier Niedemokratyczny".

Z komunikatu, rozesłanego przez zarząd Klubu Demokratycznego do prasy, dowiadujemy się, że tygodnik p. Wiącka nie miał i nie ma nic wspólnego z Klubem oraz, że sam p. Wiącek z dn. 19 b. m. przestał być sekretarzem Klubu Demokratycznego i jego członkiem.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na rok 1938.

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

KONGRES PRACOWNICZY.

W dniach 16 i 17 stycznia b. r. obradował w Warszawie Kongres Pracowników Umysłowych Państwowych, Samorządowych i Prywatnych. O doniosłości jego świadczy już choćby obesłanie przez wszystkie pracownicze ośrodki Polski około 550 delegatami.

Pierwszy dzień Sejmu Pracowniczego wypełniły przemówienia i zasadnicze rezolucje. Przemawiali nie tylko delegaci pracowników, lecz także premier Składkowski, podkreślając wagę spraw pracowniczych dla Państwa i nawołując Kongres do wysuwania na czoło zagadnień, mających na celu dobro Państwa.

Swój pozytywny stosunek do Państwa i Armii pracownicy podkreślili niejednokrotnie w czasie obrad Kongresu. Potwierdzeniem pozytywnego stosunku rzesz pracowniczych do Państwa i Armii było złożenie wieńców na grobie Nieznanego Żołnierza i w Belwederze.

Obok tego zwrócić należy baczną uwagę na owacyjne powitanie przedstawicieli robotników, na owe a[illegible]okratyczne, brzmiące we w[illegible] świadczeniach i deklaracjach [illegible] złożenia na barki świata pracy nie tylko obowiązków, ale i współodpowiedzialności za losy Państwa, a to przez rzeczywisty współudział pracujących w rządzie, gdyż zorganizowany świat pracy dorósł już w pełni do roli współwłodarza.

W dyskusji nad sprawozdaniem komisyj samorządowych uchwalono żądanie natychmiastowego rozpisania wyborów w tych samorządach, gdzie poszczególne organy zostały rozwiązane. Co do podatku specjalnego, stwierdzono, iż ustawowo wygasł on z dniem 1 b. m., wobec czego utracił on obecnie prawną swą podstawę.

Na wniosek sprawozdawcy komisji społeczno-organizacyjnej plenum uchwaliło żądanie zagwarantowania pełnej swobody zrzeszania się w związkach zawodowych, podkreślając, że wszelkie zarzuty, jakoby w łonie organizacji pracowniczych działały elementy, przeciwstawiające się interesom Państwa, są absolutnie niesłuszne. Podkreślono także konieczność odpowiedniego nacisku na prasę, aby informowała ogół w kwestiach pracowniczych zgodnie z istotnym stanem rzeczy, oświadczając w odpowiedniej rezolucji, iż ruch pracowniczy będzie umiał wyciągnąć odpowiednie konsekwencje względem tych pism, które do tego apelu się nie zastosują.

Specjalna rezolucja wzywa związki pracowników prywatnych do walki o jak najszersze zastosowanie umów zbiorowych, jako najlepszego środka do walki z drożyzną, która spauperyzowała ostatecznie masy pracownicze.

Kongres stwierdza, że skuteczną bronią w walce z bezrobociem byłoby skrócenie czasu pracy przy jednoczesnym zachowaniu dotychczasowych płac.

W sprawie ubezpieczeń społecznych wysuwa Kongres następujące postulaty: przywrócenie pełnego samorządu ubezpieczeniowego drogą powszechnych wyborów; przywrócenie właściwych kompetencji organom samorządowym instytucji ubezpieczeń społecznych; odwołanie rządów komisarycznych w tych instytucjach.

Kongres stwierdza, że pracownicy umysłowi mogą osiągnąć swój cel, łącząc swoje interesy z interesami mas pracujących robotniczych i chłopskich, i zapewnia centrale ich związków zawodowych o swojej bratniej współpracy.

W sprawie Z. N. P. wyraża Kongres nadzieję, że po zapowiedzianym zjeździe tej instytucji, zacznie ona funkcjonować normalnie na pożytek szerokich rzesz nauczycielskich i całego świata pracy.

Z obrad i uchwał Kongresu wynika jasno, że pracownicy umysłowi nauczyli się już walczyć o swe postulaty ekonomiczne, ponadto zaś wysuwają postulaty o władze ogólnopaństwowej. Zagadnienia ustrojowe, społeczne i gospodarcze, zagadnienie obronności Państwa — to naczelne punkty porządku obrad Kongresu.

ZWYCIĘSTWA I „ZWYCIĘSTWA"

W ostatnich tygodniach międzynarodowy blok faszystowski odniósł dwa poważne sukcesy. W Rumunii i Egipcie na miejsce dawnego, mocno problematycznego, ale, mimo wszystko, parlamentaryzmu, przyszły rządy typu wyraźnie faszystowskiego, autorytatywnego, bliskie w polityce wewnętrznej i w polityce zagranicznej Berlinowi i Rzymowi. Dziecińmstwem byłoby przeczyć znaczeniu faktu, że „blok totalistyczny" może liczyć dziś na poparcie i aktywną sympatię kancellarii rządowych Bukaresztu i Kairu.

A jednak, zdaniem naszym, coś się zmieniło w atmosferze. Czy pamiętacie rok 1933? Hitler płynął do władzy na wielkiej fali masowego ruchu. Wiemy, że te masy zostały oszukane, że miliony z tych, co jesienią 1932 r. szli za swastyką, złorzeczą dziś swej własnej naiwności. Ale mimo wszystko — wtedy hitleryzm cieszył się poparciem mas, znacznej części mas drobnomieszczańskich, chłopskich, pracowników umysłowych, nawet pewnej, choć drobnej części robotników. I Mussolini w epoce „marszu na Rzym" miał pewną — choć zawsze mniejszą, niż Hitler — bazę masową. A teraz?

W Rumunii stronnictwo pana Gogi zebrało właśnie, przy troskliwym poparciu władz administracyjnych... całych 10% głosów. Nie masy, choćby zacofane, choćby ulegające reakcyjnym podszeptom wyniosły go do władzy. Nawet konserwatysta Pertinax w „Europe Nouvelle" stwierdza, że Goga to eksponent „starych potęg", dworu, kleru, aparatu policyjnego. A w Egipcie? Przecież jedną z bezpośrednich przyczyn „zamachu stanu" siedemnastoletniego króla, był przygotowany przez rząd projekt ustawy, że po rozwiązaniu parlamentu muszą obowiązkowo nastąpić nowe wybory w ciągu trzech miesięcy. A przecież w Kairze agenci „trójkąta" mieli do dyspozycji tak świetny atut, jak „walka" ze zbytnią wobec Anglii ugodowością rządzącej, umiarkowanie — bardzo umiarkowanie! — liberalnej partii „Wafd". I tu szalę przechyliły na stronę „trójkąta" „stare potęgi", dwór, biurokracja, kler z „Al Azhar".

Typ rozwoju jest wszędzie ten sam. Nie tylko u nas boją się panicznie nowych wyborów. Przybudówki włosko-niemieckie wszędzie pracują już tylko „starymi potęgami". Minęły czasy „plebejskich" ruchów faszystowskich, ruchów, które porywały za sobą, ku ich własnej szkodzie, miliony „drobnych, szarych ludzi". Hitler i Mussolini pokazali co umieją. Masy ludowe nigdzie już nie chcą faszyzmu. Toteż faszyści nigdzie już nie chcą pytać się mas, wolą pracować ze „starymi potęgami".

Z ich punktu widzenia — niewątpliwie słusznie. To ostatnia karta, która im pozostała. Ale jest to karta, która dotąd zawsze w historii, przy pierwszej poważniejszej próbie, bywała systematycznie, beznadziejnie... bita. Od Valmy po Sedan, od Sebastopola po front niemiecki 1918 r. I dlatego zdaniem naszym fakt, że faszyzm rumuński i egipski mógł zwyciężyć już tylko „przez przedpokój", rękami dworskich kamaryli, zapowiada, naszym zdaniem, zwycięstwo ostateczne, zwycięstwo rzeczywiste demokracji rumuńskiej i egipskiej. Zwycięstwo demokracji nie tylko w Rumunii i Egipcie.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 59 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5424 Odbita w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.